

**Janusz Rulka**

## **Moje bydgoskie półwiecze. Prywatne problemy w czasach „małej stabilizacji” 1956-1967**

Poprzednie fragmenty wspomnień dotyczyły raczej mego życia zawodowego czy oficjalnego. W tej części chciałbym się bardziej skupić na życiu codziennym – prywatnym. Są to problemy mieszkaniowe, uczuciowe i kłopoty mego ojca.

Najważniejszym moim problemem w tym okresie, podobnie jak milionów innych, była sprawa mieszkania. W całej Polsce po wojnie były ogromne braki mieszkaniowe. Warszawa była jedną wielką ruiną, Wrocław zniszczony w około 70%, podobnie Gdańsk, nieco mniej Poznań. Wiele miast, jak np. Głogów, było zniszczonych prawie kompletnie, inne częściowo. Miasta na tzw. ziemiach odzyskanych były, częściowo zniszczone w czasie działań wojennych, inne, np. Trzebnica, już po zajęciu przez armię radziecką, spalona przez żołnierzy tejże armii.

Ale były też takie, które ocalały niemal całkowicie, tj. Kraków, Łódź, Lublin, Legnica.

W naszym województwie najbardziej ucierpiał Grudziądz, ze względu na oblężenie twierdzy, ale Bydgoszcz, Toruń, Inowrocław i Włocławek – ocalały. Jednak nawet w Bydgoszczy, z którą wojna, jeśli chodzi o substancję materialną (choć przy wielkich stratach ludzkich), obeszła się łaskawie (zniszczono jedynie mosty, kościół Jezuitów i spalono kilka budynków, w tym piękny teatr), sytuacja mieszkaniowa była bardzo ciężka.

Przez pierwsze pięciolecie powojenne w Bydgoszczy nic nie budowano, podczas gdy miasto potrzebowało mieszkań dla załóg rozbudowujących się zakładów przemysłowych, dla kadry ogromnego centrum wojskowego i dla równie wielkiego – jak wtedy w całej Polsce – przyrostu naturalnego. W okresie planu sześcioletniego (1950-55) nieśmiało zaczęto budować dwa nowe osiedla: Leśne, głównie dla kadry wojskowej, oraz Kapuściska – dla załogi Zakładów Chemicznych. Było to jednak dalece niewystarczające. Dopiero po przemianach 1956 roku budowa

tych osiedli nabrała tempa, jednak i to nie wystarczało. W sumie budowano po kilkaset izb rocznie, gdy potrzebne były tysiące.

Pierwszy rok w Bydgoszczy – 1956/7 – mieszkałem, jak to już przedstawiłem w rozdziale pierwszym, w baraku przy ul. Krasińskiego, usytuowanym między ul. Gimnazjalną a ul. Reja. Na jego miejscu stoi obecnie kompleks niewielkich sklepów. Był to typowy barak wojenny, których dziesiątki, a raczej setki zbudowano w Bydgoszczy. Najbliżej centrum stało po kilka takich dużych baraków, koło stadionu Polonii (na działce, którą dziś zajmuje sklep Biedronka z parkingiem) i naprzeciw szpitala Jurasza przy ul. Skłodowskiej-Curie, gdzie teraz jest parking i supermarket, najpierw Mini-mal, a obecnie Leclerc. Baraki te, wykorzystywane po wojnie przeważnie przez służbę zdrowia, przetrwały do przemian ustrojowych. Po 1990 roku zostały zburzone, a działki przejęły zagraniczne spółki handlowe. Największe kompleksy takich baraków znajdowały się przy ul. Glinki oraz na terenie między ul. Toruńską i Nowotoruńską. Stały się one siedliskiem najbiedniejszych mieszkańców powojennych.

„Mój” barak przy ul. Krasińskiego był do 1956 r. zarządzany przez pion administracyjny PZPR z przeznaczeniem na miejsca noclegowe dla instruktorów (najniższy stopień służbowy) Zarządu Wojewódzkiego Związku Młodzieży Polskiej. Pokoje były małe, dwuosobowe. Środkiem szedł korytarz z zapadającą się podłogą. Umywalnie i toalety były wspólne dla kilkunastu pokoi. W każdym pokoju były po dwa zdezelowane łóżka, mały stolik i szafa. Nic więcej się nie mieściło. Całość była ciemna, zimna i śmierdząca. Jak z tego wynika, niski „aparat” młodzieżowy mógł się grać jedynie entuzjazmem ideologicznym, który w 1956 r. wśród młodych był coraz słabszy.

Po roku z radością przeprowadziłem się do pokoiku wychowawcy internatu na ul. Łukasiewicza. Gdy po następnych dwu latach otrzymałem pracę w Liceum Pedagogicznym, problem mieszkaniowy znów się pojawił w całej ostrości. W czasie wakacji zajmowałem jeszcze pokój w internacie, mało w nim zresztą mieszkając, ale w końcu sierpnia musiałem opróżnić miejsce dla swego następcy. Przepytyując w tej sprawie dotychczasowych kolegów, nie natrafiłem na żaden ślad wolnego pokoju.

Już po zakończeniu roku szkolnego, w początkach lipca, wybraliśmy się w piątkę nad jezioro do Chmielnik: inżynierowie Kabaciński i Jętczak (właśnie ukończył studia), mgr wychowania fizycznego Janiak z kolejną sympatią (miał ogromne powodzenie u dziewczyn, czego mu zazdrościliśmy) i ja. Z placu Kościeleckich co pół godziny odjeżdżał specjalny autobus. Na przystanku kłębił się jednak taki tłum, że mowy nie było, by się do niego dostać. W końcu udało się nam chwycić taksówkę. Dzielać przez pięć, nie był to nadmierny wydatek.

Taksówkarz zgodził się nas zabrać wszystkich, więc na tylnym siedzeniu gniotło się trzech, a na ich kolanach siedziała dziewczyna, co umilało sytuację. Niestety, przed Brzozą utworzył się nieduży korek samochodowy, bo milicja urządziła tam kontrolę. Taksówkarz zarządził:

– Dwójka panów musi przebiec przez las za restauracją (hotelu ani obiektów obok jeszcze nie było), a ja za wsią poczekam.

Tym sposobem udało się dojechać na strasznie zatłoczone kąpielisko. O ile pamiętam, wieczorem wróciliśmy pociągiem, także zatłoczonym. W czasie opalania po kąpeli znowu zacząłem nudzić o mieszkaniu. Wtedy wuefista Janiak powiedział:

– Wiesz co, przypadkiem dowiedziałem się, że jest wolna kwatery na ul. Grunwaldzkiej. Podał nawet numer na tejże ulicy.

Na drugi dzień wieczorem tam się wybrałem. Chodziłem z pół godziny po ulicy, nie mogąc znaleźć tego numeru. Gdy zrezygnowany wracałem na przystanek tramwajowy (wtedy jeszcze ul. Grunwaldzką jeździł tramwaj), nagle zauważyłem ten numer na bramie cmentarza farnego.

Nawet nie mogłem za ten żarcik wylać swej złości na koledze, bo już właśnie wyjechał do rodziny na wakacje. Później przeprosił mnie mówiąc, że ktoś z niego też tak zadrwił.

W czasie jednego z ostatnich pobytów na Kapuściskach, spotkałem matkę jednej z uczennic, p. Gotówkową, która mnie zapytała, co tak smutno wyglądam.

– Nie mam gdzie mieszkać.

Po zastanowieniu powiedziała:

– To może u nas by się miejsce znalazło, pod warunkiem, że będzie pan pomagał mojej córce w nauce.

Przeniosłem się, starając się być w mieszkaniu jak najmniej, bo całość miała tylko 2 pokoje, kuchnię i łazienkę. Pan Gotówka pracował w dziale elektrolizy chemicznej, intensywnie rozbudowywanej wtedy Eltry. Przemieszkalem tam trzy miesiące, ale obydwie strony były niezadowolone. Sukcesy w udzielanych korepetycjach miałem, mówiąc oględnie, umiarkowane. Pani Gotówkowa mówiła ciągle o nauczycielach córki, że są do niczego i obiecując im to wygarnąć, jak tylko córka ukończy szkołę podstawową, co ja potwierdzałem mówiąc, że trzeba ich wszystkich wystrzelać. Na to ona:

– z panem to nawet porozmawiać poważnie się nie da!

Mieszkanie było małe i moja obecność tam była absolutnie zbędna. W tej sytuacji zacząłem szukać lokum w gmachu Liceum. Miało ono oddzielny piętrowy budynek dla kadry, ale tam mieszkali już z rodzinami nauczyciele: Wrzoś, Szalla i Machalińska. Od strony szpitala mieszkali natomiast Marian Horwat

z żoną i dziećmi oraz kierowniczka szkoły ćwiczeń p. Żuchelkowska z synem, wuefistą z III LO na Okolu, który był świetnym brydżystą i czasem rozgrywaliśmy tam kilkugodzinne seanse. Trzecim był fizyk Horwat, czwartym albo matematyk z III LO Kamiński, albo starszy od nas p. Zujewski.

Budynek miał też, od strony szpitala, niezagospodarowane, drewniano-szkłane, zamknięte werandy. Indagowany w tej sprawie wice, a potem dyrektor Horwat mówił:

– Chciałbym koledze pomóc, ale tam przecież nie ma wody, ubikacji i ogrzewania. Po kilku dniach (był grudzień) by pan zamarzł.

Przez kilka dni nocowałem w harcówce, a potem zlitowała się nade mną lekarka Liceum – dochodząca na godziny dr Barbara Pietras – dając mi możliwość zamieszkania w izolatce, mieszczącej się obok gabinetu lekarskiego. Tam czułem się wyjątkowo dobrze, bo pokój, dość obszerny, miał szafę, półkę na książki, umywalnię, a po drugiej stronie korytarzyka znajdowała się ubikacja. Ponieważ gabinet i izolatka mieściły się na pierwszym piętrze w wydzielonej części budynku, usytuowanej pod kątem prostym wobec głównego korpusu, część mego pokoju, szczególnie, gdy wieczorem paliłem światło, była widoczna z najbliższego okna korytarza mieszczącego się na drugim piętrze internatu. Któregoś wiosennego wieczoru, leżąc już w łóżku i czytając książkę, przez otwarte szeroko okno, usłyszałem duet, a może tercet, śpiewający w oknie na górze:

*Cichy ten wieczór, księżycu blask,  
Tulę do siebie miliony gwiazd.  
Jestem samotna, żal serce rwie,  
Powiedz kochany, czy słyszysz mnie?*

Dziewczyny śpiewały tę sentymentalną dumkę pięknie, widać, że były chórzystkami prof. Juszczyka. Za moment zaczęła się powtórka. Gdy zaśpiewały ją po raz trzeci, lekko przeciągając słowa i melodię, zrozumiałem, że jestem jej adresatem. Głośno odpowiedziałem:

– Ależ oczywiście, słyszę, słyszę!

Dziewczyny zachichotały i słyhać były kroki ich ucieczki.

Zarówno sympatyczna p. Doktor, jak i już wtedy dyrektor Horwat, i ja, obawialiśmy się dość częstych wtedy kontroli Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej. Jakoż któregoś dnia się pokazała. W trakcie, gdy kontroler sprawdzał kuchnię i ubikacje, sympatyczny woźny szkoły p. Dolata i sam dyrektor, w pocie czoła „ewakuowali” moje rzeczy do innego pomieszczenia. Ja, nieświadomy, miałem w tym czasie lekcję.

Wiść o tym doszła jednak do mieszkającego nadal w Liceum dyrektora – już SN-u – W. Kolibabki. Ponieważ obydwaj mieszkaliśmy na tym samym korytarzu,

choć na dwu jego końcach, i jako jedyni z kadry jedliśmy razem z młodzieżą internacką niedzielne obiady, czasem też rozmawialiśmy. Przeważnie to ja byłem słuchaczem. Szczególnie lubiłem wspomnienia rodzinne dyrektora o powstaniu wielkopolskim i innych kwestiach międzywojnia. Czasem jednak wypowiadałem swoje poglądy polityczno-społeczne, niekiedy nie całkiem prawomyślne. Widziałem wtedy, że mimo braku słownego potwierdzenia, są one aprobowane przez mego rozmówcę.

Po incydencie z koniecznością przejściowego opuszczenia izolatki (dziw, ale przez pół roku nie zaszła potrzeba jej wykorzystania przez internatowców), dyrektor Kolibabka zwrócił się do mnie z następującą propozycją:

– Otrzymaliśmy na Kapuściskach dwupiętrowy internat dla studentów SN-u. Jest tam etatowy portier, ale ktoś musi mieć na nich „oko wychowawcy”, bo są wprawdzie po maturze, ale czasem mają problemy z przestrzeganiem regulaminu. Proponuję, żeby pan przejął tę funkcję. Dostanie pan za taki nadzór wychowawczy pokój i jedną czwartą etatu. Co pan na to?

Oczywiście się zgodziłem, chociaż nieśmiało zaproponowałem, czy nie mógłbym dostać zapłaty półetatowej. Ale dyrektor był stanowczy i więcej do tej kwestii nie wracałem. Tym sposobem od 1 lipca 1960 r. przeniósłem się do nowego lokum, znów na Kapuściskach. Okazało się, że jest to dwupiętrowy budynek po hotelu robotniczym przy ul. Janka Krasickiego, obecnie Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. W piwnicy budynku znajdowała się stolówka. Na parterze mieściło się osiedlowe kino o nazwie – oczywiście – Chemik, którym zarządzał obrotny, żywy jak iskra pan, sympatyczny, chociaż podobno również „na służbie”. Jego syna spotkałem już po przemianach i sam mi wyznał, że też pracuje w „służbach niemundurowych”. Czyli jest coś takiego, jak dziedzictwo pokoleń. Na parterze mieszkała też rodzina woźnego, pana Bejenki, przybysza z krakowskiego. Wkrótce po ukończeniu zaocznego technikum chemicznego przeniósł się do pracy w Zachemie, a funkcję woźnego i pracownika gospodarczego w jednym, przejęła jego żona, Maria Bejenkowa. Nad nimi na pierwszym piętrze mieszkała rodzina nauczycieli Knasiakowskich, a jeszcze wyżej, na drugim piętrze, pracownik fabrycznej księgowości z żoną.

Naprzeciw schodów na drugim piętrze był mój pokój. Słoneczny, od wschodniej strony, z dwoma oknami, wysoki, ciepły, z podłogą wyłożoną parkietem, o powierzchni około 20 m<sup>2</sup>. To był luksus, chociaż umywalnie i toalety były wspólne.

Przez ul. Krasickiego miałem widok na pola obsiane zbożami, a dalej zaczynały się ogródki działkowe i las ogrodzony podwójnym płotem z drutu kolczaste-go, ogradzający wielusethektarowy teren Zachemu. W następnym dziesięcioleciu

wschodnia strona ul. Krasickiego (Baczyńskiego) została zabudowana, podobnie jak południowa strona później poszerzonej, dwupasmowej już alei Wojska Polskiego, gdzie w latach 50. i 60. rosło żyto i było kilka gospodarstw ogrodniczych.

Na pierwszym i drugim piętrze, w identycznych jak mój pokojach, mieszkało po czterech studentów. Studentki natomiast były zakwaterowane na najwyższym piętrze mojego byłego internatu Szkół Chemicznych oraz w internacie po Liceum na Seminarystycznej.

Mój pokój miał „służbową” szafę i nieduży stół. Wobec tego dokupiłem sobie otwarty regał biblioteczny, dwa fotele, niski stolik i potężny kanapo-tapczan, w którym łatwo chowało się pościel. Mimo to było jeszcze sporo miejsca. Jako ciekawostkę podam, że te dwa fotele wykazały ogromną trwałość i do dziś jeden z nich stoi w domku letniskowym na działce. Niedawno zobaczyłem fotografię tej serii w jakimś fachowym czasopiśmie z informacją, że jest to jeden z pięknych przykładów pracy Instytutu Wzornictwa Przemysłowego z lat 60. W pokoju tym, w ludzkich już warunkach, przeżyłem kolejne trzy lata.

Mimo to ciągle myślałem o samodzielnym mieszkaniu. Początkowo chciałem wraz z Rodzicami zbudować domek jednorodzinny. Akurat gdy zacząłem pracować na Kapuściskach poniżej skarpy rozpoczęto budowę Osiedla „Łuczniczka”. Ogromną zachętą był fakt doprowadzenia do osiedla zarówno światła, jak i wody, a po pewnym czasie nawet kanalizacji! To był w owym czasie na osiedlu prywatnych domków, po prostu luksus.

Niestety, pani urzędniczka, zawiadująca tym osiedlem, podania kawalerskie załatwiała odmownie, mimo że mówiłem o chęci sprowadzenia Rodziców, a pewnie i jakaś żona się w tym czasie trafi. Równocześnie urzędniczka patrzyła na mnie dziwnie zachęcająco, czego nie mogłem pojąć. Nie pomogła nawet interwencja Inspektora Oświaty, Majdzińskiego, i sprawa upadła. Gdy po dalszych dwóch, trzech latach przeczytałem w gazecie, że ta pani jest sądzona za przyjmowanie łapówek, jakoś jej nie żalowałem.

W 1960 r. doszło w Bydgoszczy do precedensu w skali krajowej. Powstała Nauczycielska Spółdzielnia Mieszkaniowa „Znicz”. Już nie pamiętam, czy uczestniczyłem w pierwszym czy dopiero drugim dorocznym walnym zgromadzeniu w auli Technikum Mechanicznego. Ale byłem pod wrażeniem. Po raz pierwszy, ja, człowiek po studiach, i uczący m.in. wiedzy o społeczeństwie, dowiedziałem się, że w spółdzielniach istnieje coś takiego jak Rada Nadzorcza, Zarząd, Walne Zgromadzenie i sposób, w jaki to wszystko działa i nawzajem się kontroluje.

Prezesem Spółdzielni był ówczesny dyrektor Zaocznego Technikum Mechanicznego, Jan Malinowski. Widać było od pierwszego wejrzenia, że jest to energiczny, świadomy zadań i sposobów ich realizacji, człowiek czynu.

Przewodniczącym Rady Nadzorczej był Jan Purzycki – Prezes Zarządu Związku Nauczycielstwa Polskiego. Członkami Zarządu byli m.in. Bolesław Goral i z I LO Jan Nidosug oraz Wiesława Dymel. Zapisalem się na członka spółdzielni i zacząłem zbierać pieniądze na pierwszy wkład. Niestety, szło mi to słabo. Większość z potrzebnych 21 tysięcy dali mi Rodzice. Ojciec miał pensję prezesa gminnej spółdzielni, a mama hodowała jedną krówkę i jedną świnkę. Doliczając darmowe ziemniaki i warzywa oraz będąc ludźmi oszczędnymi, potrafili zebrać spore jak na owe czasy fundusze.

Spółdzielnia działała bardzo sprawnie. Już po dwu latach wybudowała na działce przy zbiegu ulic Krasieńskiego i Libelta, przekazanej Spółdzielni przez I LO, pierwszy budynek w głębi działki, według naprawdę dobrego projektu, który wykorzystywały również inne spółdzielnie, m.in. na zachodnim skraju parku Ludowego oraz nad Brdą (dwa bloki) na wschód od ul. Krakowskiej. Niestety władze, podobno osobiście Władysław Gomułka, zarządziły oszczędności i następne trzy bloki na osiedlu Libelta-Krasieńskiego były już zdecydowanie gorsze.

Jesienią 1963 roku dowiedziałem się, że dostanę 46-metrowe M-4 (?) w budynku zbudowanym bezpośrednio przy ul. Libelta. Decyzję tę usłyszałem już w towarzystwie mojej „poważnej” sympatii – Małgorzaty – na kolejnym walnym zgromadzeniu w auli Technikum Mechanicznego. Chyba po tygodniu dostałem wezwanie na zebranie Zarządu, które dokonywało tego przydziału. Gdy jako kolejny zostałem poproszony do pokoju okazało się, że jest to posiedzenie w dość szerokim gronie, bo za stołem siedziały z urzędowymi minami również trzy nieznanne mi osoby. Jeden z tych ludzi nagle oświadczył, że ma duże wątpliwości, czy powinienem dostać tak duże mieszkanie, bo przecież jestem kawalerem.

Wtedy ogarnęła mnie złość. Najpierw zapytałem, kim on jest. Okazało się, że cała trójka to przedstawiciele władz „partyjno-miejskich”, którzy mają czuwać nad prawidłowością przydziału mieszkań. Z jeszcze większym wzburzeniem zapytałem ich, gdzie byli, gdy mieszkalem w śmierdzącym baraku albo gdy nielegalnie nocowałem w harcówce. Poza tym stwierdziłem, że zamieszkają ze mną albo Rodzice, albo żona, bo mam zamiar się ożenić. Poza tym to przecież ja wpłaciłem już pierwszą ratę i mieszkanie – według kolejności członkostwa – mi się należy.

Wszystko to nie zrobiło na „Wysokiej Komisji Kontrolnej” żadnego wrażenia. Zarząd siedział bez głosu. Sprawę odłożono. Wyszedłem wściekły, ale za mną wyszedł i Prezes Malinowski.

– Kolego – powiedział swym zdecydowanym głosem – proszę tu przy stoliku napisać oświadczenie, że w najbliższym czasie się pan żeni, a resztę ja załatwię.

– Ale ja jeszcze nie jestem tak zupełnie pewny...

– Proszę pisać i zaraz mi oddać!

Rzeczywiście, po tygodniu miałem już przydział. Niestety, widocznie wątpliwości Komisji jakoś zadziały, bo dostałem mieszkanie na czwartym piętrze, na dodatek szczytowe. Gdy wyraziłem swoje zastrzeżenia, Prezes tym razem powiedział:

– To proszę zrezygnować, mam tu jeszcze czterech chętnych, a pan zostanie przydzielony za rok, w bloku przy ul. Traugutta. Cóż było robić, zgodziłem się.

W tym miejscu chciałbym kilka zdań poświęcić Janowi Malinowskiemu. To były pierwsze moje z nim spotkania. Nic o nim wcześniej nie wiedziałem. Stopniowo, gdy już razem mieszkaliśmy przy osiedlu Libelta, chociaż on z rodziną w pierwszym bloku w głębi osiedla, gdy bliżej poznaliśmy się, kiedy zostałem członkiem Rady Nadzorczej Spółdzielni, a szczególnie, gdy razem pracowaliśmy w Wyższej Szkole Pedagogicznej (był już wtedy docentem z doktoratem) nabrałem do niego ogromnego szacunku. Prezes swą ogromną pracę w spółdzielni wykonywał przez lata całkowicie bezinteresownie, bez żadnego wynagrodzenia. Stopniowo zaczął mi nawet opowiadać o swych życiowych losach, szczególnie czasach wileńskich i pracy w Armii Krajowej. Oczywiście w latach 80. pomijał te najbardziej trudne sprawy związane z polowaniem na niego, które prowadziła „bezpieka”. W pełni poznałem go dopiero z jego „Strzępów wspomnień” wydanych już po śmierci. Żegnały go na cmentarzu setki ludzi: „wilniuchy”, koledzy z Armii Krajowej, uczniowie, nauczyciele, którym zapewnił mieszkania (prawie tysiąc mieszkań!), współpracownicy i przyjaciele. Była nawet honorowa drużyna wojska, która oddała na jego cześć salut karabinowy.

Nie należałem do ludzi mu najbliższych, ale uważam, że jest to jeden z najwybitniejszych bydgoszczan XX wieku. Jego biografia jest gotowym materiałem na sensacyjny, patriotyczny film fabularny. Proponuję władzom miejskim, niezależnie, jaką opcję reprezentującym, nadanie znaczącej ulicy lub rondu imienia – Jana Leszka Malinowskiego.

Najważniejszy problem, przed którym stałem jako dwudziestokilkuletni kawaler, było małżeństwo. W ciągu lat studenckich i po ukończeniu studiów oprócz chwilowych sympatii, miałem kilka też bardziej poważnych. Jedną z nich była studentka chemii, Jadzia B., ale ja, mając lat 20 czy 21, nie byłem jeszcze ani psychicznie, ani materialnie gotów do zdecydowanych deklaracji. W efekcie wyszła za dyrektora banku PKO w jednym z miast powiatowych naszego województwa. Inną była studentka polonistyki Studium Nauczycielskiego z Torunia o imieniu Urszula, inteligentna i ładna, niestety powody „uwiadu” tego uczucia leżały po mojej stronie – podobnie jak wyżej.

Rodzice na wsi kojarzyli mnie z kolejnymi nauczycielkami mającymi tam-



że rodziców – Marylą i Mirką. One też czekały jedynie do pewnego czasu na wyraźne oświadczenia, a gdy do nich nie doszło, powychodziły za mąż. Przypominało mi się to czasem po latach, gdy słyszałem śpiewających w duecie Bohdana Smolenia i Krzysztofa Krawczyka melancholijną piosenkę: „[...] dziewczyny, które mam na myśli, powychodziły za mąż już [...]”.

Już będąc nauczycielem Liceum, zostałem zaproszony na imieniny, a może „oblewanie”, nowego mieszkania przez mego kolegę z roku – Stanisława Rakowicza. Po studiach został przewodniczącym Komitetu Miejskiego nowo powstałego (na miejsce ZMP) Związku Młodzieży Socjalistycznej w Toruniu. Okazał się tam świetnym organizatorem, a jego czołowym osiągnięciem było współzałożenie, z zespołem „świeżych” inżynierów, spółdzielni mieszkaniowej „Osiedle Młodych”. Po kilku latach otrzymał awans na II sekretarza Komitetu Wojewódzkiego ZMS w Bydgoszczy. Otrzymał wraz ze swoją żoną polonistką – Lusią, dwupokojowe mieszkanie w świeżo oddanym do użytku bloku przy ul. Skłodowskiej-Curie róg Jurasza. W trakcie przyjemnego wieczoru, w tymże mieszkaniu, poznałem też dwie koleżanki Lusi, w tym nauczycielkę chemii p. Sygnecką. Odegrało to znaczącą rolę w dalszym życiu, gdyż w rok później zapoznała mnie ona ze swoją koleżanką, też chemiczką, Małgorzatą Dudzik, która tak mnie zafascynowała, że po krótkim czasie została moją Żoną. To opiszę jednak nieco później. Wróćmy do Staszka. Żle się czuł jako historyk i niezbyt odpowiadała mu praca w ZMS-ie, dlatego zaocześnie ukończył ekonomię, potem obronił nawet doktorat i pracował w kolejnych zakładach przemysłowych. Początkowo w bydgoskim Stomilu, potem był dyrektorem w Kieleckim Kombinacie Łożysk Toczyńskich, wreszcie kierował toruńską Elaną. Pod koniec lat 80. został wojewodą toruńskim. Po przemianach przeszedł do prywatnego biznesu i szefował najpierw zakładom włókienniczym, a potem był szefem salonu samochodowego w Toruniu. Był człowiekiem, który starał się menadżerskie sposoby zarządzania wprowadzać już w gospodarce socjalistycznej, co oczywiście prowadziło do konfliktów z częścią aparatu politycznego i ekonomicznego, chociaż był ceniony przez współpracowników i większość zwierzchników. Swoje losy zawodowe opisał w wydanej książce. Do dziś utrzymujemy przyjacielskie kontakty.

W tym miejscu chciałbym też przytoczyć losy naszego kolegi Franciszka Szalacha. Był on absolwentem polonistyki z tego samego – 1956 – roku. Jako aktywista partyjny został I sekretarzem wojewódzkiego komitetu ZMS, czyli bezpośrednim zwierzchnikiem Rakowicza. W wyborach styczniowych 1957 r. został wybrany na posła do sejmu. Wybory te, niestety, mocno odbiegały od zasad demokratycznych, ponieważ skład ustalały gremia kierownicze trzech ówczesnych

partii: Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego, a właściwie Biuro Polityczne tej pierwszej. Ustalano też, jakie będą proporcje posłów z poszczególnych partii, bo wszyscy kandydaci byli umieszczeni na jednej liście, a cała propaganda wzywała, aby głosować bez skreśleń. W efekcie kandydaci z dwu lub trzech ostatnich miejsc nigdy nie dostawali się do sejmu. Każdy z nich wiedział jednak, że tytułem pocieszenia będzie wybrany jako radny do Wojewódzkiej Rady Narodowej.

Zasadą było, aby posłowie PZPR stanowili wyraźną większość. Pierwsze takie „wyборы” poparł nawet, uwolniony kilka miesięcy wcześniej, Prymas Wyszyński – myślę, że przekonany do tego nadzieją na ułożenie poprawnych stosunków między władzą a Kościołem. Uważam, że kardynał Wyszyński nie był człowiekiem konfrontacji. Zawsze próbował dojść do consensusu, co z władzą ludową, zarówno za Bieruta, jak i późnego Gomułki, było prawie niemożliwe.

W efekcie w sejmie kadencji 1957-61 znalazło się około 60% członków PZPR, reszta ze Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego.

Nowością było pojawienie się kilkunastu posłów z „licencjonowanych” list katolików. Na listach PZPR i ZSL znalazło się też kilkunastu „przedstawicieli młodzieży”. Z naszego województwa został nim Franek Szalach. Oprócz pensji za pracę w ZMS otrzymał też trzy tysiące złotych diety poselskiej, o czym nas kiedyś poinformował. Była to suma znaczna. Trzy tysiące złotych zaczął miesięcznie dostawać po podwyżce profesor zwyczajny uniwersytetu. Od posłów w owym czasie nie wymagano wielkiej pracy. Przeważnie nie mieli też przygotowania do pracy parlamentarnej. Główne ich zadanie polegało na wygłaszaniu czasem sztamkowych przemówień i głosowaniu „tak” w myśl partyjnych ustaleń. Niekiedy od normy, ale bardzo umiarkowanie, odbiegały głosy katolików, z wyjątkiem wystąpień Stefana Kisielewskiego, które rzeczywiście przedstawiały ówczesne problemy. Było natomiast wiele okazji do wypicia i w sejmie, i w czasie wizyt w okręgu wyborczym. Franek, niewylewający za kołnierz już w czasach studenckich, korzystał z tego niestety w nadmiarze. Być może przyczyniło się to do nieuwzględnienia go na liście w kolejnych wyborach. W latach 60. pił za dużo nawet jak na ówczesne standardy. Został wtedy kierownikiem Wydziału Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, czyli dzisiejszego Urzędu Wojewódzkiego i Marszałkowskiego razem. Niestety, tu też opuszczał się w pracy. Kiedy po raz kolejny doszło do blamażu – nie przygotował jakiegoś ważnego wystąpienia, które miał odczytać dla kilkuset ludzi on czy też sam Wojewoda, już nie pamiętam, ten ostatni zażądał jego odwołania. O skali upadku świadczy moje z nim spotkanie na ówczesnej ul. 1 Maja. Zobaczyłem go koło gmachu PKO i po powitaniu zapytałem, gdzie idzie.

– Do kina.

Wyraziłem zdziwienie, że o tak wczesnej porze. Na to on, z sarkazmem:

– To nie wiesz, że jestem teraz kierownikiem kina Wolność?

Jest to obecnie obiekt, gdzie mieści się biuro maklerskie PKO, a sala kinowa, wcześniej wyremontowana przez bank, stoi, ze względu na redukcję etatów, pusta i zaniedbana.

Mimo to Franek, chociaż pilnowała go żona Ania, też polonistka, pić nie przestał. Kiedyś spotkałem ją idącą do niego do szpitala. Poszedłem razem z nią. Był wrakiem człowieka. Jeszcze przed 1970 rokiem zmarł.

III RP, podobnie jak w innych dziedzinach, sporo przejęła i w tym zakresie z PRL-u. Zdarzały się w ostatnim 25-leciu bełkotliwe mowy posłów, zakrapiane kolacje ministrów, „filipińska” choroba sternika nawy państwowej.

Wróćmy jednak do moich spraw. Oprócz kwestii mieszkania najważniejszymi i najtrudniejszymi dla mnie w początkach lat 60. były dwie kwestie: sprawa Ojca i sprawa małżeństwa.

Zacznijmy od ojca. Jak już wcześniej pisałem, w 1952 roku we Wrocławiu, gdzie wtedy mieszkaliśmy, został skazany za przynależność do tajnej organizacji Rzeczpospolita Polska Walcząca na 10 lat więzienia. Po zwolnieniu w sierpniu 1955 r. – wskutek rewelacji bandyty Fleischfarba-Światły opowiadanych w Wolnej Europie i przede wszystkim w konsekwencji śmierci Stalina, wrócił na wieś, gdzie razem z wujostwem mieszkała Mama. Ponieważ zaraz po wojnie Rodzice przekazali 12-hektarowe gospodarstwo w bezpłatną dzierżawę wujowi, Ojciec nie chciał tego zmieniać i zaczął pracować jako referent w Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska w Sławęcinie, powiat Żuromin, odległej od naszej wsi Zgliczyn o dwa kilometry.

Po „przemianach październikowych” 1956 roku – jak to wtedy mówiono – Ojca zaczęto namawiać, żeby został prezesem tej mocno zadłużonej spółdzielni. Zarówno ja, jak i mój szwagier, inż. Bolesław Skowyrski, mocno to ojcu odradzaliśmy. Twierdziliśmy, że na pewno jest pod kontrolą SB i lepiej byłoby, aby się zbyt nie wychylał.

Mimo to po miesiącu namów, nawet przez sekretarza partii z powiatu, Ojciec się zgodził. Po trzech latach spółdzielnia była już na plusie, chociaż w pokoju Ojca stał tylko zwykły stół, a jeżdżąc za produktami po sąsiednich województwach (mówiło się wtedy „zdobyłem towar”) nigdy nie korzystał z przysługującej mu pierwszej klasy pociągu. Ojciec odżył, wszedł do komitetu budującego drogi lokalne. Sieć dróg na północnym Mazowszu była bardzo rzadka. Wówczas dzięki rewelacyjnej – jak na owe czasy – metodzie utwardzania podłoża przez mieszanie cementu z piaskiem i wodą oraz kładzenie na to dywanika bitumicznego w ciągu

10 lat, do 1970 r., doprowadzono suche i trwale drogi do prawie każdej wsi. W naszej wsi Ojciec kierował także Komitetem Budowy czteroklasowej szkoły ze świetlicą dla potrzeb wspólnoty mieszkańców. Zaczął się nawet bawić w reżysera kilku wystawionych przez mieszkańców sztuk teatralnych, których teksty otrzymał w redakcji ówczesnego serialu radiowego „Matysiakowie”.

Niestety, te piękne lata już w 1962 roku zaczęły się psuć. Pojawiły się kolejne trudności gospodarcze, wywołane przede wszystkim agresywną polityką międzynarodową Chruszczowa. Chodzi tu o kryzys berliński z 1961 r. (budowa muru), kryzys kubański w 1962 r., rozpychanie się ZSRR w Afryce i Wietnamie. Wszystko to plus rozbuchany program kosmiczny drogo kosztowało. ZSRR „sprawiedliwie” dzielił się kosztami tej polityki z europejskimi państwami bloku, co musiało wpłynąć na pogorszenie sytuacji ekonomicznej tych krajów. Znowu zaczynały się „przejściowe kłopoty z masą mięsną”. Był to ulubiony zwrot późnego Gomułki.

Wprowadzono zaostrome kary za przestępstwa gospodarcze, wprowadzając do kodeksu karnego m.in. pojęcie „karalnego braku nadzoru”. Za nadużycia w jednym z zakładów mięsnych ich dyrektora, Wawrzeckiego, ojca znanego później aktora, skazano na karę śmierci i wyrok ten, mimo protestu wielu prawników, wykonano.

Mój Ojciec, jak w latach 50. był ofiarą terroru stalinowskiego i braku swobód demokratycznych, tak teraz załapał się za tenże „brak nadzoru”. W spółdzielni jednoosobowym kierownikiem i sprzedawcą w sklepie z narzędziami i przyborami rolniczymi był – nazwijmy go – Stefan. Człowiek ten nie w pełni wywiązywał się z pracy i Ojciec parokrotnie zwracał mu na to uwagę, grożąc nawet zwolnieniem. Po jednej z tych rozmów zjawił się u prezesa cywil z powiatu, pokazał legitymację Służb Bezpieczeństwa, po czym zapytał, jak się ojciec czuje po uwolnieniu. Dał do zrozumienia, że nadal jest pod obserwacją, a na zakończenie stwierdził:

– Stefan jest porządnym człowiekiem i proszę mu nie sprawiać trudności. Oczywiście wszystko w ramach przepisów, rozumiecie.

Przeprowadzony w następnym roku remanent wykazał spore niedociągnięcia. Kolejny poświadczył duże braki, ale po pierwszym dniu spisu, w nocy, sklep zaczął się palić, co zauważyli mieszkańcy i pożar ugaszono. Braki finansowe były bardzo duże. Sprzedawca został aresztowany, a Ojciec oskarżony o brak nadzoru. Oczywiście „obrońcy” oskarżonego się nie ujawnili.

Jesienią 1962 r. przed Sądem Wojewódzkim w Warszawie odbył się proces, w którym Stefana skazano na kilka lat więzienia. Przez całą rozprawę jego żona, siedząca na sali, płakała, do czego przyłączył się i sam oskarżony, a drugi oskarżony – mój Ojciec – jak stwierdzono – recydywista, stał się prawie głównym przestępcą i skazano go na dwa lata więzienia, najwyższy wymiar kary z paragrafu „braku nadzoru”.

Już w czasie przerwy w procesie, na ławce koło nas usiadł milicjant, a gdy po godzinie Sąd ogłosił wyrok, Ojciec został natychmiast zaaresztowany i odprowadzony do więzienia.

To było dla mnie straszne przeżycie. Dopiero co zginęły mi pojedyncze siwe włosy, które pojawiły się w wieku 16 lat, po poprzednim Ojca wyroku, a tu znów taki cios!

W ostatniej rozpaczy pojechałem tramwajem sprzed gmachu Sądu z pięknym napisem na fasadzie budynku: „Sprawiedliwość ostoją mocy i trwałości Rzeczypospolitej”, na plac Konstytucji, wtedy jeszcze pachnący świeżością swego dziesięcioletniego istnienia. Stamtąd przeszedłem pieszo do jedynego bliskiego mi człowieka w Warszawie – Kazimierza Moczarskiego – z prośbą o pomoc i radę.

O Kazimierzu Moczarskim pisałem już w rozdziale pierwszym. Po zawarciu z nim znajomości w sanatorium w Iwoniczu (1956 r.) w czasie przyjazdów do Warszawy odwiedzałem go kilkakrotnie w małym mieszkaniu na „Latawcu”. Ten odbudowany fragment miasta między placem Konstytucji, placem Zbawiciela i placem Na Rozdrożu nazywany był wtedy MDM, czyli Marszałkowską Dzielnicą Mieszkaniową. O MDM-ie śpiewano w owym czasie kilka piosenek. Tam poznałem jego żonę, która aresztowana wkrótce po uwięzieniu męża, przesiadziała aż do 1956 roku tylko za to, że była jego żoną i członkinią AK. Te długie lata spędziła w ciężkim więzieniu dla więźniarek politycznych w Fordonie, wtedy koło Bydgoszczy. Kobietom tam uwięzionym, bohaterkiej czołówce młodych przeważnie polskich patriotek, nie dawano nawet żadnych materiałów higienicznych związanych z ich cyklami miesięcznymi.

Żona Kazimierza Moczarskiego wyszła z tego piekła poraniona zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Ta piękna, młoda dziewczyna ze zdjęcia, które widziałem (ślub wzięli w okresie okupacji), po uwolnieniu nigdy nie doszła do pełnego zdrowia. Gdy ją widziałem pierwszy raz, jesienią 1956 r., byłem przerażony jej przezroczystą cerą, chudością twarzy i całej postaci, oraz dziwnym, niespokojnym wzrokiem.

Ich jedyna córka, która się wkrótce urodziła, miała wrodzoną wadę serca. Po kilku latach udało się ją wyleczyć w USA, dzięki łańcuchowi ludzi dobrej woli w Polsce i Stanach Zjednoczonych. To były początki złotej ery światowej kardiologii, której częścią w latach 80. i następnych stała się również polska kardiologia wskutek działalności Zbigniewa Religi i dzięki której (któremu) również ja jeszcze żyję.

Po krótkim powitaniu z p. Moczarskim i jego żoną, powiedziałem, co dziś spotkało mego Ojca. Pan Kazimierz, ku mojemu zdziwieniu, zaprosił mnie nie do pokoju, a na spacer. Byłem tym przyjęciem nawet trochę zdziwiony (zdegustowany), ale wkrótce po wyjściu na ulicę sprawiedliwił się.

– Panie Januszu, u mnie w mieszkaniu są podsłuchy. Wolę rozmawiać tutaj.

Poszliśmy do pobliskiego baru mlecznego. Tam przedstawiłem mu dokładniej sprawę Ojca, a on, wyjąwszy zabrany z domu arkusz papieru, podyktował mi pismo do Sądu Najwyższego, który okazał się instancją odwoławczą przy sprawach rozpatrywanych w pierwszej instancji przez Sąd Wojewódzki. Chodziło o to, żeby do czasu rozpatrzenia odwołania, Ojciec mógł przebywać na wolności. Dopiero dziś, pisząc po półwieczu o tej sprawie, uprzytomniam sobie kuriozalność sprawy. Sąd Najwyższy musiał się zajmować sprawą uchylecia tymczasowego aresztu wobec prezesa Gminnej Spółdzielni, który nie był nawet oskarżony o kradzież, a o brak nadzoru nad nierzetelnym pracownikiem. Byłoby to śmiechu warte, ale mnie wtedy do śmiechu nie było.

Kazimierz Moczarski, będący wtedy kierownikiem działu interwencji w „Kurierze Polskim”, ówczesnej centralnej gazecie Stronnictwa Demokratycznego, uruchomił widocznie swoje „dojścia”, gdyż po upływie zaledwie dwóch tygodni Ojciec został wypuszczony do czasu rozprawy rewizyjnej. Później zorientowałem się, że do końca życia, przez te kilkanaście lat (zmarł na raka w latach 70.), pomógł setkom ludzi.

Jak paradoksalne były wtedy stosunki świadczy fakt, że z pierwszego listu, który napisał po uwolnieniu Ojciec, dowiedziałem się, że natychmiast został przez wojewódzkie władze GS, na wniosek Powiatowego Związku Gminnych Spółdzielni w Żurominie, mianowany wiceprezesem tegoż Powiatowego Związku. Odpisałem mu, że mnie się to zupełnie nie podoba, ale Ojciec uważał, że w ten sposób może zostanie mu anulowana jego „wina”.

Już po kilku miesiącach, w czasie Świąt Wielkanocnych, żalił mi się, że rolnicy odstawiają zakontraktowane tuczniki do Żuromina, a najbliższe zakłady mięsne w Mławie nie mają wystarczających mocy produkcyjnych, by je przetworzyć. W efekcie spółdzielnia musi je kilka lub kilkanaście dni przetrzymywać w złych warunkach, narażając się na dodatkowe koszty, a równocześnie świnie w stresie tracą wagę i nie wiadomo, jak to rozliczać.

– Przecież te nadwyżki moglibyście sprzedawać małym spółdzielczym zakładom w poszczególnych gminach – zaproponowałem.

– Tego nam robić nie wolno. Spółdzielnia ma prawo dokonać tego jedynie decyzją kilkusobowej komisji, która protokołarnie stwierdzi, że świnia czy młody byczek ma złamaną nogę.

W tej sytuacji rolnik, który przywiózł świnie czy bydlę na skup, bardzo rzadko mógł kupić jakąkolwiek kielbasę czy mięso na obiad. Pozostawał tylko ubój w prymitywnych wiejskich warunkach, czasem nawet bez kontroli weterynaryjnej. Takie oto były paradoksy gospodarki socjalistycznej.

Aby Rodzicom trochę poprawić humor, kupiłem im wtedy nieduży, bateryjny radioodbiornik „Szarotka”. W Zgliczynie, peryferyjnej wsi, w 1963 r. nadal nie było prądu. Podłączono go dopiero, przy wydatnej pomocy mieszkańców, trzy lata później. Na tym radiu Ojciec słuchał Dzienniki pierwszego programu, ulubionych Matysiaków, a przede wszystkim Wolnej Europy, którą tam było słyszeć lepiej niż w Bydgoszczy, bo w promieniu 50 km nie było jazgotliwej zagłuszarki. Jeśli chodzi o Bydgoszcz, było to bardzo uciążliwe, bo mimo zniszczenia jesienią 1956 r. zagłuszarki na Szwederowie (spalenie jej było głośną sprawą w całej Polsce) w następnych latach uruchomiono nową o wyższym jazgocie zagłuszania.

W tym czasie, po wakacjach 1963 r., zwrócił się do mnie sekretarz wojewódzki Związku Nauczycielstwa Polskiego – Tadeusz Połatyński – z niespodziewaną propozycją. Z Połatyńskim utrzymywałem luźne kontakty, gdy wiosną 1956 r. – po XX zjeździe Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, a jeszcze pół roku przed „polskim październikiem” – wygłosiłem mocno krytyczną mowę na kilkusetosobowym wiecu studentów UMK w Collegium Maximum na Rynku Staromiejskim. W wiecu brały udział władze wojewódzkie z ówczesnym I sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego, towarzyszem Władysławem Kruczkim. Oczywiście w tłumie byli też pracownicy Urzędu Bezpieczeństwa.

Mówiłem tam o paradoksie polskiego rolnictwa, m.in. o obowiązkowych dostawach zboża, wyznaczonych częściowo już na lipiec, podczas gdy żniwa odbywają się w sierpniu, ale przede wszystkim o przetrzymywaniu w więzieniach tysięcy więźniów politycznych, popełniających czasem nawet samobójstwa, dokumentując to informacją o sytuacji więzienia w Strzelcach Opolskich, o czym opowiadał mi Ojciec (zob. fragment wspomnień w t. 33 „Kroniki Bydgoskiej”, a także mój tekst we *Wspomnieniach pracowników UMK*)<sup>1</sup>.

Po tym wiecu założono mi kartotekę w UB (o ile już jej tam nie było), straciłem szansę na posadę asystenta, którą mi wcześniej proponował promotor – profesor W. Łukaszewicz, ale za to okazało się, że zyskałem uznanie u Tadzia, którego stanowisko oficjalne było jak najbardziej w „nomenklaturze partyjnej”, natomiast prywatnie miał odmienne poglądy.

Ten mi oświadczył:

– Słuchaj, za kilka tygodni będzie ogólnopolski zjazd Związków Zawodowych. Proponujemy cię na delegata nauczycieli z naszego województwa na ten zjazd.

Poczułem się w tym momencie mocno dowartościowany.

<sup>1</sup> J. Rulka, *Moje bydgoskie półwiecze. Kapuściska 1957-1959*, „Kronika Bydgoska”, t. 33, Bydgoszcz 2012, s. 401-431; J. Rulka, *Moje studia na kierunku historii (1952-1956)*, [w:] *Uniwersytet Mikołaja Kopernika. Wspomnienia pracowników*, Toruń 1995, s. 235-237.

– Ale czy ja się nadaję, czy ja sprostam...

A Tadzio na to:

– Eee, dasz sobie radę, tam nic od ciebie nie będą chcieć. Pomyślałem o tobie, bo z centrali dostaliśmy warunki: ma być młody, przed trzydziestką, mężczyzna, bo kobiet w nauczycielstwie za dużo, partyjny. No to pomyślałem o tobie.

Tak się rozwiały przypuszczenia o docenieniu moich zawodowych kompetencji. Mimo to się zgodziłem. Błysnęła mi bowiem myśl: a może dotrę tam do jakiegoś wpływowego działacza i porozmawiam o Ojcu. Chciałem też przedstawić kilka bolących problemów oświaty: słabego wyposażenia materialnego szkół, ich przeladowania, a szczególnie braku odpowiednio gabarytowych sal gimnastycznych. Te budowane przy tysiąclatkach były zdecydowanie za małe i niskie. Fatalne było także ówczesne wynagrodzenie nauczycieli.

Władze wojewódzkie Związku Nauczycielstwa Polskiego wybrały mnie chyba zaocznie, bo nic nie pamiętam, abym w takiej imprezie uczestniczył. Wkrótce w grupie delegatów różnych branż z całego województwa bydgoskiego wyjechaliśmy pociągiem do Warszawy. Zamieszkaliśmy w różnych hotelach warszawskich, wtedy jeszcze nielicznych. Nam trafił się świeżo wybudowany hotel „Gromada” z falującym jak łąn zboża górnym gzymsem, na przedwojennym placu Wareckim. Na tymże placu w odbudowanym na starym szkielecie, przedwojennym „drapaczu chmur”, istniała już od dziesięciu lat Telewizja Polska, pracująca w niezwykle ciasnocie, a po przeciwnej stronie placu budowano siedzibę Narodowego Banku Polskiego.

Na drugi dzień rozpoczęły się w sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki obrady zjazdu. Na scenie w kilku rzędach siedziało dostojne prezydium. Obrady otworzył przewodniczący Związków Zawodowych, członek Biura Politycznego KC PZPR, Ignacy Loga-Sowiński, jeden z najbliższych współpracowników I sekretarza. Zasadniczym punktem programu było długie wystąpienie Władysława Gomułki. Mimo wszystko nie było aż tak długie jak na zjazdach partii. Odnośnie tych ostatnich istniał w owym czasie następujący dowcip:

– Kto jest najbardziej seksownym mężczyzną w Polsce?

– Władysław Gomułka, bo potrafi bez przerwy przez cztery godziny pieprzyć na stojąco.

Ale gdzie mu tam było do Fidela Castro, który w latach 60. potrafił mówić do ukochanego ludu nawet po 8-12 godzin!

Mimo to warto było Gomułki posłuchać. Po zrywie lat 1956-60, gdy lekkie poluzowanie w gospodarce, szczególnie zbrojeniowej, oraz spontaniczne zlikwidowanie ponad 90% kolchozów (spółdzielni produkcyjnych) doprowadziły do znacznego wzrostu dochodu narodowego, teraz zaczął się okres stagnacji.



kończyła się również dostawa żywności z USA, w ramach stu milionów dolarów pożyczki amerykańskiej, której wartość na dzisiejsze ceny trzeba by pomnożyć przynajmniej razy dziesięć. Dochodziły też żądania zbrojeniowe ze strony ZSRR. Teraz Gomułka powiedział, że wzrost produkcji obniży się do 4-5% rocznie, co wówczas wydawało nam się wyjątkowo niskim wskaźnikiem. Zaczął też wspominać o konieczności wzrostu wydajności pracy. Przybrało to później charakter „bodźcowania produkcji”. Nawet cenzura w końcówce rządów Gomułki puszczała satyrykom dowcipy na ten temat.

Wróćmy do Kongresu Związków. Po wystąpieniu I sekretarza, nastąpiła dłuższa przerwa. W kularach oficjele, z Gomułką na czele, podchodzili do poszczególnych grup delegatów. Ponieważ siedzieliśmy obok górników, podeszli najpierw do nich, a potem do nas, nauczycieli. Przejęty prezes ówczesnego ZNP, docent Kwiatek, jakoś go przywitał, a potem nastąpiła chwila na swobodne wypowiedzi. Zebrałem się na odwagę i zacząłem mówić, że polityka skrajnie penitencyjna w dziedzinie gospodarki nie przyniesie spodziewanych efektów. Ale zanim ukończyłem to zdanie, już mi przerwał prezes Kwiatek i kilku innych zapiewajłów, a i Gomułka chwilę później się oddalił.

Wieczorem wszystkie delegacje resortowe zostały zaproszone przez swoich ministrów. Dzień później dowiedzieliśmy się, że u niektórych wóldarzy delegaci mogli sobie zdrowo pojeść i popić w trakcie niezobowiązujących rozmów. Natomiast minister oświaty, Wincenty Tułodziecki, przyjął nas jakimś mętym soczkiem i suchymi ciasteczkami, zapraszając równocześnie do dyskusji bez sprecyzowania tematu. Kiedy nikt nie chciał zacząć, po raz drugi zdobyłem się na odwagę, mówiąc nieco złośliwie, że zaczniemy mówić, ale wcześniej musimy się rozgrzać soczkiem. Soczek nawiasem mówiąc był zimny. Zdaję się, że zgodnie z moimi przypuszczeniami, minister „aluzju nie poniał”.

Ale faktycznie, po dłuższej chwili zgłosiła się nauczycielka, prosząc ministra o wysłuchanie ułożonego przez nią pochwalnego wiersza na cześć jego i całego ministerstwa. Ledwie przeżyliśmy jej rymy, zgłosiła się następna z referatem na temat osiągnięć edukacyjnych jej szkoły. Odeszła mnie chęć mówienia czegokolwiek. Inni też coś bąkali i po godzinie to piękne spotkanie ministra z przedstawicielami stanu nauczycielskiego się skończyło. Był jeden moment, w którym wszyscy wybuchnęli śmiechem: minister na pożegnanie, wspominając o „pewnych niedociągnięciach w oświacie”, powiedział nagle: „Mamy tu ładne kwiatki”, co nam się skojarzyło z naszym prezesem.

Mimo wszystko drugiego dnia przed obradami zwróciłem się do prezesa Kwiatka, że chcę zabrać głos. Ten zaczął się ironicznie śmiać.

– Kolego, przecież kto będzie mówił, to już jest ustalone od kilku tygodni.

Naszym mówcą będzie dr Kazimierz Kąkol. Zresztą i tak bym się poważnie zastanowił, po waszym jednym zdaniu z dnia wczorajszego...

Tak się skończyły moje śmieszne marzenia o tym, jaka jest rola delegata na tego typu zjazdach. Okazało się jednak, że wystąpienie Kąkola było jak na owe czasy dość sensowne. Ten były powstaniec warszawski był jeszcze wtedy dość trzeźwo myślący. Dużo gorzej działał, gdy w następnych latach został szefem Urzędu do spraw Wyznań.

Z drugiego dnia zapamiętałem jeszcze inne wydarzenia: złe i dobre.

Złe. Siedziałem obok górnika ubranego w galowy mundur. Niestety, strasznie śmierdziały mu nogi. Okazało się, że zdjął buty. Po godzinie nie wytrzymałem i poprosiłem, by je założył. A on na to:

– Widzisz chopie, ja co dzień pracuja na szychcie w gumiakach. To mi się nogi przepociły. A na zjazd matka kupiła mi eleganckie pantofle, ale za małe i mi w po-ciungu nogi zapuchły. To co mam robić?

Po przerwie siadłem nieco dalej.

Dobre. Wiedzieliśmy, że wieczorem odbędzie się dla nas koncert Mazowsza w pełnym składzie. Na żywo widziałem go pierwszy raz. Zaprosiłem też Ojca, by przyjechał do Warszawy autobusem i oderwał się od złych myśli. Liczyłem, że odkupię bilet od tych, którzy mieli na wieczór inne plany. Rzeczywiście, tak się stało.

Potęga muzyczna i taneczna w pełni dojrzałego, ale jeszcze młodego Mazowsza była dla nas obydwu ogromnym przeżyciem. Mnie szczególnie podobał się bas solisty Stanisława Jopka, którego piosenka „Furman” miała też pewne akcenty ostrzeżeniowe wobec władzy (o koniu, który czasem potrafi kopnąć właściciela – furmana). Szkoda, że ten talent głosowy na międzynarodową skalę, równy Bernardowi Ładyszowi, nie został w pełni oszlifowany i wykorzystany. Ale część splendoru przejęła od swych mazowszańskich rodziców córka – Anna Maria Jopek.

Ojciec, zadowolony z występów Mazowsza pojechał na ul. Dolną na nocleg do siostry, która razem z mężem nieco wcześniej przeniosła się do Warszawy. We Włocławku skończyła się bowiem praca dla projektantów zapory wodnej. Ze względów oszczędnościowych rząd podjął decyzję, że zaporze włocławskiej nie będzie towarzyszył mniejszy, wyrównawczy zbiornik z zaporą koło Ciecho-cinka. Tymczasem wtedy, gdy była budowana zapora włocławska, zgromadzony sprzęt itp., można było to zrobić za pół ceny. Brak tej zapory wyrównawczej mści się do dziś, stanowiąc zagrożenie dla ludności mieszkającej poniżej tamy we Włocławku, łącznie z zagrożeniem Torunia i Solca. Szwagier został zatrudniony w warszawskim regionie dróg wodnych. Wkrótce został jego szefem, a w latach

70. dyrektorem Departamentu Gospodarki Wodnej Ministerstwa Rolnictwa. Nadzorował wtedy budowę dziesięciu zbiorników, w tym Niedzicy na Dunajcu, Sie-mianówki na Narwi i Jeziorska na Warcie. Budowa niektórych z nich ślimaczyła się. Np. zbiornik w Niedzicy mocno utrudniali – Boże odwróć – ekolodzy, tak że ukończona została już po jego przejściu na emeryturę, ale dzięki niej nie ma powodzi na rzece Dunajec. Niestety, przez następne ćwierćwiecze nowe zbiorniki nie powstały, a budowany od 10 lat jednak na Odrze w Raciborzu tak się wlecze, że chyba go pobudzi do życia kolejna powódź tysiąclecia.

Wróćmy do zjazdu Związków. Trzeciego dnia odbyły się wybory. Komisja regulaminowa podała najpierw socjologiczny skład delegatów, który odzwierciedlał dane statystyczne „ludu pracującego miast i wsi”. Ilu mężczyzn, ile kobiet, ilu starych, średnich i młodych, jakie mają wykształcenie, pochodzenie, z jakich partii (tu przewaga PZPR), ale i ZSL, i SD oraz bezpartyjni też.

Uśmiełem się wtedy wewnątrz z tego cyrku. Przecież jak wynikało to z mojego przykładu, wszystko było już wcześniej ustalone. A już same wybory władz były tak ustawione, że aż mdliło. Wszyscy, widząc to, aprobowali sytuację, „bo taka była logika dziejów”.

Po całej imprezie spotkałem się z Tadeuszem Połatyńskim i powiedziałem mu, że nie wezmę udziału w żadnych zebraniach na temat tego zjazdu. Jestem nim całkowicie rozczarowany (podałem powody), a najbardziej dotknęło mnie wyży-wienie. Karmiono nas taką ilością mięsa, jakbyśmy mieli się stać strasburskimi indykami. Miało się to nijak do normalnego zaopatrzenia. Tadzio pokiwał głową, nie protestował, a nasze kontakty od tego czasu się urwały. Zresztą wkrótce został na swym stanowisku wymieniony.

Nie minęły dwa tygodnie, gdy nagle dostałem od Ojca list, że pisze w pośpiechu, bo będzie za godzinę aresztowany. Sąd Najwyższy nie uwzględnił apelacji. Był to piątek, początek października 1963 r. Sobotę miałem wyjątkowo wolną, więc jeszcze tej nocy pojechałem pociągiem do Sierpca. Przez długie lata chodził dalekobieżny pociąg relacji Warszawa-Sierpc-Toruń-Bydgoszcz-Piła-Kołobrzeg. Z Sierpca rannym autobusem dojechałem do Bieżunia, potem lekki siedmiokilo-metrowy spacer do Zgliczyna nad Wkrą i już w południe byłem w domu. Zasta-łem płaczącą Matkę mówiącą:

– Znow poszedł siedzieć, a mnie tu zostawił z krową, świnią i ziemniakami!

Po południu zaczęliśmy ogacać słomą reję wykopanych ziemniaków. Szło nam to ciężko, ale nagle pojawił się sąsiad, p. Trojanowski, bez słowa ruszył do pracy i już wieczorem reja była należycie ogacona słomą i lekko przysypana ziemią, z otworami wentylacyjnymi. Zbyt mocno nie można było jej obłożyć, bo ziemniaki by się zaparzyły. Sąsiad nie chciał wziąć pieniędzy, ale go wreszcie

ubłagałem, by je przyjął na poczet „zimowego” otulenia rei, co trzeba było zrobić przed nadejściem mrozu. Ta nasza praca okazała się bardzo potrzebna, bo całą niedzielę padał deszcz. Nieutwardzona jeszcze wtedy droga do Radzanowa, skąd odjeżdżał autobus do Raciąża, gdzie przesiadałem się na ww. pociąg kołobrzeski, całkiem rozmiękła. Siedziałem z mamą całą niedzielę i mój pobyt jakoś ją uspokoił. Wyszedłem, gdy już się ściemniało. Na zagłębieniu drogi, przy tzw. torfniakach, stały takie błotne kałuże, że nie dało się ani przejść, ani obejść tego rozlewiska. W końcu, w ciemności, ruszyłem na wprost i w pewnym momencie ugrzęzły mi obydwie pantofle, a ja znalazłem się w bajorze tylko w skarpetkach. Musiałem zawrócić, znaleźć buty, wylać z nich wodę i iść dalej, by zdążyć na autobus. Jeszcze tylko przejście przez wieś Drzazga, gdzie rzuciły się na mnie spuszczone „psy łańcuchowe”, kilometrowy spacer przez puste pola, 200 metrów wzdłuż cmentarnego muru, z chwiejącymi się na wietrze gałęziami drzew, co tworzyło nieprzyjemne wrażenie, a na końcu kocie łby ul. Poświętnej, prowadzącej do radzanowskiego rynku, gdzie już czekał na odjazd autobus, zwany wtedy przez wszystkich pekaesem.

– Czym dojeżdżasz do pracy?

– Pekaesem. – Tak się wtedy mówiło.

Wolno jadącym z Raciąża pociągiem około drugiej w nocy dojechałem do Bydgoszczy, a już o ósmej w poniedziałek rozpocząłem zajęcia w Liceum.

Po miesiącu otrzymałem od Ojca list z więzienia w Płocku. Za czasów stalinowskich ze Strzelec Opolskich mógł pisać tylko jeden w miesiącu. Teraz się poprawiło. Mógł napisać dwa, więc jeden napisał do Mamy, drugi do mnie. Postanowiłem, że w najbliższą niedzielę go odwiedzę, przedtem jednak musiałem być na balu dyplomowym studentów zaocznego Studium Nauczycielskiego. Już wtedy (od 1960 r.) równoległe z pracą w Liceum Pedagogicznym miałem zajęcia w zakresie historii w studium zaocznym. Prowadziłem wtedy pierwszą w życiu grupę, która pisała u mnie prace dyplomowe. Trzeba było pójść.

Ten bal zaocznych absolwentów wszystkich kierunków odbywał się wtedy jedyny raz w salach hotelu Orbis, wcześniej i dziś zwanym „Pod Orłem”. Szedłem w ponurym nastroju, myśląc ciągle o Ojcu i niesprawiedliwości, jaka go spotkała. Pierwszy raz w życiu postanowiłem się upić. Absolwenci, którzy stanowili sympatyczną grupę, widząc moją chęć, a być może dla pewnej formy rewanżu, bo w owych latach byłem mocno wymagający, postanowili mi w tym pomóc.

Chyba koło drugiej, trzeciej w nocy, gdy kilku z nich wyprowadzało mnie do taksówki, byłem mocno zalany. Wiem, że o czymś poważnie rozmawiałem jeszcze z taksówkarzem, pamiętam, że na Kapuściskach biegł on za mną

z pozostawionym w samochodzie płaszczem, pamiętam, że z pijacką powagą powiedziałem mu:

– Nie szkoodzi, dziękuję!

Jakoś wdrapałem się na drugie piętro do mojego pokoju i rzuciłem na tapczan, który przezornie przed wyjściem przygotowałem do spania. Gdy się obudziłem, był jasny ranek, ja leżałem w ubraniu i butach z wymiotami na twarzy i poduszce. Oczywiście na wyjazd do Płocka było już za późno. Bolała mnie głowa, a do siebie czułem silny wstręt. Od tego czasu minęło 50 lat, a nigdy mi się nie zdarzyło, abym był pijany.

Do ojca pojechałem w następną niedzielę. Warunki widzenia były zdecydowanie inne niż w czasach stalinowskich. Siedzieliśmy sami przy stoliku, mówiąc o rodzinnych sprawach i omijając jakiegokolwiek kwestie mogące sprawić nam przykrość. Dopiero gdy podszedł strażnik, mówiąc, że skończył się czas widzenia, a ja wręczyłem Ojcu zdobytą z wielkim trudem kilogramową kielbasę krakowską, zaczęły się schody. Strażnik stwierdził, że produktów żywnościowych nie można przekazać. Ja zacząłem się upierać, strażnik wezwał oficera dyżurnego i gdy nadszedł pełniący tę funkcję starszy sierżant, nie wytrzymałem. Cały paradoks kolejnego uwięzienia Ojca przerwał u mnie tamę, i ja, człowiek dość pyskaty i mający już 27 lat, po prostu się rozryczałem. Funkcyjny, człowiek około pięćdziesiątki, chyba zrozumiał, bo polecił strażnikowi dać Ojcu tę kielbasę i tak się rozstaliśmy. To był mój ostatni płacz w życiu, nie licząc cichych łez na pogrzebie Mamy w 1989 r.

Święta Bożego Narodzenia 1963/64 spędziłem u Mamy w Zgliczynie, starając się poprawić jej humor w pustym domu. Byliśmy też na mszy w radzanowskim kościele. Drugiego dnia świąt wieczorem niespodziewanie odwiedziła nas Mirka P. Była to córka sąsiada, światłego rolnika, będąca nauczycielką w Płocku, z którą poprzednio przez pewien czas sympatyzowałem, ale w ostatnim półroczu nasze kontakty się urwały. Widać było, że oczekuje ode mnie jakiejś deklaracji. Po wypiciu herbaty i zjedzeniu ciasta postanowiliśmy odbyć spacer powrotny. Powiedziałem jej wtedy, że spotkałem w Bydgoszczy dziewczynę, w której się zakochałem i nasza znajomość jest bez dalszej przyszłości. Widać było, że Mirka mocno to przeżyła, a i mnie było jakoś nijako. Wkrótce wyszła za mąż, ale małżeństwo podobno po parunastu latach się rozpadło.

W czasie wizyt u Rodziców w następnych latach kilkakrotnie miałem możliwość porozmawiać przyjaźnie z moim niedoszłym teściem. Natomiast niedoszła teściowa nigdy mi nie wybaczyła. Gdy jej się kłaniałem, zawsze odwracała demonstracyjnie głowę w innym kierunku.

Czas więc przejść do omówienia spraw małżeńskich.

W końcu sierpnia 1963 r. w dość zimny, pochmurny wieczór wracałem z Torunia, gdzie mieściło się jeszcze wtedy Wojewódzkie Kuratorium Oświaty, z narady historyków przed rozpoczęciem roku szkolnego. Zebranie było bez sensu, ale się odbyło.

Tu dygresja. Wtedy mówiono często, że zebranie „odfajkowano”. Kiedyś słyszałem anegdotę o ówczesnym wiceministrze kultury Fajkowskim, ojcu późniejszej redaktorki telewizyjnej, Jolanty Fajkowskiej. Był on członkiem ZSL, a w każdym ministerstwie jeden wiceminister był z tego stronnictwa. Natomiast ministrami, łącznie z rolnictwem, byli zawsze partyjni z PZPR. Kiedyś tenże wiceminister, kończąc ogólnopolską naradę, wyraził się następująco:

– No to mamy sprawę odfajkowaną. – Co kilkuset zebranych przyjęło głośnym aplauzem. Zgodnie z ówczesnym zwyczajem, po zakończeniu urzędowania został ambasadorem w Finlandii. Dziś też tak kończą wysocy urzędnicy lub idą na chleb dla zasłużonych do Parlamentu Europejskiego.

Wróćmy do sytuacji z września 1963 r. Przy wysiadaniu z pociągu na Dworcu Głównym w Bydgoszczy prawie zderzyłem się z poznaną wcześniej u Rakowiczów koleżanką Sygnecką. Jak się okazało, podobne zebrania mieli równocześnie nauczyciele wszystkich przedmiotów. Wyobraźcie sobie, ile musiały kosztować same delegacje! Ile można by było za to kupić pomocy dydaktycznych. Oczywiście teoretycznie, bo w praktyce trudno było je dostać. W owym czasie często mówiono „dostałem” to lub tamto, zamiast „kupiłem”. Wprawdzie i tak trzeba było zapłacić, ale najważniejsze było samo zaistnienie towaru, które przedstawiciel władzy (sprzedawca) wspaniałomyślnie pozwolił kupić. Dziś jest na odwrót: towarów w bród, tylko w kieszeniach u większości pustki.

Sygnecka przedstawiła mi swoją koleżankę Małgorzatę Dudzik. W czasie powolnej jazdy tramwajem przez ul. Dworcową, z dłuższym przystankiem na mijance, rozmawialiśmy w trójkę, przy czym moją uwagę coraz bardziej przyciągała nowa znajoma. Szczególnie podobało mi się jej zaczesanie blond włosów, à la Brigitte Bardot. Pod byle pozorem wysiadłem razem z nią koło Domu Sztuki na 1 Maja, a gdy stwierdziła, że idzie kupić chleb w Delikatesach (tam, gdzie jest dzisiaj McDonald's), też mi się przypomniało, że go potrzebuję. Ponieważ jednak nowa znajoma nie zdradzała większego entuzjazmu do rozmowy, trzeba było się pożegnać. Dalszy ciąg nastąpił dopiero pod koniec września, gdy w auli I LO przeprowadziłem ze swoją klasą nieudaną lekcję dla historyków z dziesięciu liceów pedagogicznych, które działały w ówczesnym województwie bydgoskim.

Po tej klęsce dydaktycznej, którą opisałem w rozdziale poprzednim, dla odprężenia postanowiłem się przypomnieć poznanej w tramwaju chemiczkę uczącej w jedyńce. Akurat zaczęła się przerwa. Zapytałem o drogę któregoś z uczniów

i za moment znalazłem się w pracowni chemicznej, gdzie pani profesor stawiała różne menzurki na półkach, ale to była inna pani. Zacząłem jej, stojącej na drabince podawać wskazane szkła, pytając równocześnie o panią Małgorzatę, która w tym momencie weszła. Okazało się, że nawet mnie pamięta. Rozmowa trwała kilka minut, bo odezwał się kolejny dzwonek. Ponieważ w pracowni lekcje prowadziła ta druga pani (Zdzisława Pankowska) wyszedłem razem z p. Małgorzatą i zaproponowałem jej popołudniową kawę w pobliskim Cristalu. Była to najbardziej popularna, bo właściwie jedyna kawiarnia w śródmieściu, mieszcząca się w lokalu naprzeciw Delikatesów, obok salonu fryzjerskiego. Drugą była kawiarnia w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki, tam gdzie do niedawna mieściła się drogeria Rossmann, koło największego bydgoskiego kina Pomorzaniek.

Ku mojemu zadowoleniu dziewczyna na kawę się zgodziła. Z pewnym trudem, w kawiarni był ciągły tłok, udało nam się znaleźć dwuosobowy stolik i w ciągu godziny wypiliśmy tam kawę, której wtedy były tylko dwa gatunki: Robusta i Arabica, do tego ciastko zwane W-Z – nazwa od trasy warszawskiej – oraz dwa kieliszki jugosłowiańskiego wermutu marki Istra. Był wtedy jeszcze jeden wermut do wyboru – włoski, o zupełnie niesocjalistycznej nazwie Corpus Christi.

Rozmowa nam się kleiła, bo zmobilizowałem całe swoje umiejętności i dowcip, aż się trochę spociłem. Nawet mi to szło dość dobrze, bo moje żarciki były przyjmowane zachęcającymi uśmiechami, zarówno mimiką twarzy, jak i nawet półgłosnym śmiechem. Bardzo mnie to dowartościowało. Dopiero w kilka lat po ślubie w czasie jednej z pierwszych małżeńskich sprzeczek usłyszałem:

– Myślisz, że jesteś tak inteligentny i dowcipny? Raczej z ciebie się wtedy śmiałam niż z twoich żarcików!

Ale to było później. Wtedy przeszliśmy na pani Gosiu, panie Januszu i ustaliliśmy, że w sobotę, za 10 dni, pójdziemy na dancing do Savoyu. Bo przedtem muszę jechać do Rodziców. O problemach Ojca na razie nie chciałem mówić. W sobotę o 19 miałem się stawić w mieszkaniu rodziny Dudzików na ul. 3 Maja 26 mieszkania 2. Już pół godziny wcześniej znalazłem się tam, niestety, mimo poszukiwań ani mieszkania, ani partnerki nie znalazłem. Kręciłem się po okolicy, pełen rozpacz, wreszcie pobiegłem do Liceum, ale tam spotkałem tylko portiera.

Z poczuciem kolejnej klęski po dwóch godzinach pojechałem na Kapuścińska. W poniedziałek udałem się do szkoły z kwiatami i tam się dowiedziałem, że przedwojenna ul. 3 Maja, którą w końcu 1949 r. przemianowano na któregoś Grudnia dla uczczenia zjazdu zjednoczeniowego PZPR, w 1956 roku znów wróciła do starej nazwy. Ujęło mnie to, że p. Małgorzata nie robiła mi wyrzutów, a miała za co. Otóż w ten feralny wieczór, gdy wyszykowała się już do wyjścia, do mojej przyszłej teściowej przyszła jej koleżanka.

– A gdzie to się p. Gosia wybiera?

– Idę do Savoyu.

Tak mijaly minuty, kwadrans, 2 godziny, a absztyfikant się nie pojawił. Mimo wszystko obydwójce nie odpuściliśmy i w następną sobotę wypiliśmy całą butelkę wermutu, jakieś przekąski, napoje i przy orkiestrze grającej tanga i fokstroty, z niewielką liczbą walców i twista spędziliśmy uroczy – myślę, że dla obydwu stron – wieczór i wczesną noc. Wtedy też poprosiłem Gosię (przeszliśmy na ty), aby towarzyszyła mi na zebraniu Nauczycielskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Okazało się, że ona też jest w kolejce i ma dostać kawalerkę na kolejnym budowanym osiedlu przy ul. Buczka (Czartoryskiego).

To zebranie w Technikum Mechanicznym, trwające kilka godzin, dodatkowo nas zbliżyło. Zaczęliśmy też spacerować wieczorami na skwerze przy Sielankach, gdzie jesienny melancholijny nastrój był dodatkowo wzmacniany refleksami światła idącymi przez mgłę z zainstalowanych tam jeszcze gazowych latarni. Budziło to mój dodatkowy sentyment, bo przypominał mi się nastrój podobnych lamp gazowych w moim ukochanym mieście młodości – Wrocławiu.

W tym też czasie, gdy już przeniósłem się z Kapuścisk do otrzymanego mieszkania na czwartym piętrze bloku przy ul. Libelta, zaprosiłem sympatię (tak się to wtedy mówiło) do tego lokum. Widok był nieszczerólny. Wchodziło się do małego przedpokoju o wielkości 3 m<sup>2</sup>. Na wprost w kierunku wschodnim była wąska, ale z oknem (!) kuchnia. W prawo był największy pokój o wielkości około 14 m<sup>2</sup>, też z oknem i dużym balkonem na wschód. Dalej był kolejny przesmyk z pawlaczem i ścienną szafą, z którego na wschód wchodziło się do sąsiedniego pokoju (ok. 10 m<sup>2</sup>) na południe do małego pokoju (ok. 8 m<sup>2</sup>) i na zachód do łazienki z wanną, bojlerem, umywalką i sedesem (ok. 4 m<sup>2</sup>). Razem było to 46 m<sup>2</sup>, w tym największy pokój był przechodni.

Początkowe umeblowanie było następujące: na środku „dużego” pokoju stał przewieziony z Kapuścisk tapczan, obok dwa fotele, w małym pokoju leżał stos książek, w kuchni na gazowej kuchence dwa garnki, obok kilka talerzy. Koniec.

Widać było, że Małgorzata patrzy na to „bogactwo” nieco przerażona, ale potem, jak to kobieta, powiedziała, że jeśli zechcę, to ona mi pomoże to zagospodarować.

Na kolejnych spacerach opowiedziałem jej nieco o sobie: że mam 27 lat (ona 26), że Rodzice mieszkają na wsi, że Ojciec jest w więzieniu (i za co), że mam niedomykalność jednej z zastawek serca, że piszę doktorat. Z kolei od niej dowiedziałem się, że ukończyła Technikum Chemiczne, potem chemię u prof. Basińskiego (mieliśmy więc co wspominać, bo za moich czasów był rektorem), że kolejno pracowała w instytutach rolnych (rok przed studiami),



potem w Wojewódzkim Wydziale Ochrony Środowiska, a obecnie jako nauczycielka w I LO.

Później okazało się, że mamy wspólne hobby – kajaki. Tego samego roku, 1958, nic nie wiedząc o sobie, jechaliśmy nawet jedną trasą: ona z Piszku do Sorkwit, a ja z Sorkwit do Piszku. Zacząłem się przekomarzać, że ja większość trasy płynąłem z prądem, a na musiała ciągnąć pod prąd. Ona na to: ciągnął raczej Rysiu. W ten sposób zaczęliśmy też trochę opowiadać o swoich wcześniejszych sympatiach.

Poznałem też w czasie wizyty Rodziców Gosi. Ku zdziwieniu, a nawet uciesze okazało się, że jej mamą jest pracowniczka działu finansowego Wydziału Oświaty, z którą rozmawiałem wtedy, gdy przejściowo zaginęła książka kasowa prowadzonego przeze mnie obozu wędrownego. W późniejszym czasie zorientowałem się, że w czasie tej pierwszej wizyty zarobiłem u przyszłych teściów „plusy dodatnie” – jak to formułował później nasz prezydent Lech Wałęsa. U teściowej zadziałała wcześniejsza „znajomość” oraz moje ubranie. Otóż za namową jednej z koleżanek – „Myszki” – kupiłem kupon (tak to się wtedy mówiło) materiału bielskiej wełny i trafiłem na dobrego krawca, który mi z tego uszył ładny garnitur. Na ogół wszystkim się podobał jego kawowy, rzadko spotykany kolor. Natomiast przyszłego teścia zjednałem sobie wiedzę historyczną. Był on naczelnikiem wydziału w wojewódzkim PZU, mieszczącym się na najwyższym piętrze gmachu PKO na placu Wolności. W czasie wojny jako oficer artylerii przeszedł szlak bojowy od Torunia, przez Kutry, Rumunię, do brygady karpackiej w Palestynie i Tobruku. Potem w drugim korpusie Andersa przeszedł kampanię włoską od Monte Cassino do Bolonii. Ja coś niecoś o tym wiedziałem i mogłem z nim rozmawiać sensownie i z zainteresowaniem.

Chyba na początku grudnia, w czasie jednego ze spotkań, oświadczyłem się. Na to Małgorzata:

- Ale ja pana, ciebie, nie traktuję poważnie.
- Ale ja za to bardzo poważnie.

Widocznie jednak poważnie było i po drugiej stronie. Są na to dowody materialne. Gosia kupiła najpierw słomiankę (wtedy bardzo popularną!) na ścianę do przedpokoju i ktoś nam wkrętami umocował na niej wieszak z uchwyty. Było już gdzie powiesić płaszcze. Natomiast większość ubiorów mieściła się w zamontowanej przez budowlańców szafie ściennej. Tapczan powędrował do narożnego pokoju, a do pierwszego kupiliśmy stolik pod posiadany już wcześniej, piękny, jasny aparat Diora (z Dzierżoniowa) z adapterem do odtwarzania płyt u góry i tajemniczym „okiem magicznym”. Pojawiło się parę garnków, szklanek i kieliszków. Jeszcze w grudniu pojechałem do Warszawy, by powiedzieć siostrze Irenie

i szwagrowi Bolkowi, że chyba będę się żenił. Bolek, który był bossem całej rodziny Skowyrskich i Rulków, oświadczył krótko swym zdecydowanym głosem:

– Mam wkrótce służbowy wyjazd do Bydgoszczy (chodziło o budowane wtedy zapory na Brdzie w Koronowie i Tryszczyne, a także rewitalizację Kanału Bydgoskiego, to ostatnie trwa już pół wieku, a efektów brak). Przyjadę, zobaczą i powiem, co o tym myślę.

Tak się stało, spotkaliśmy się w moim nowym mieszkaniu i wydał decyzję:

– Akceptuję, chociaż trochę się dziwię, bo ona Poznanianka, a Ty z Królestwa. Czy się nie boisz różnic kulturowych?

Akurat dla mnie to nie był problem. W styczniu się oświadczyłem Rodzicom Gosi i ustaliliśmy termin ślubu, a właściwie dwóch ślubów: cywilnego i kościelnego. Najbliższy wolny termin w Urzędzie Stanu Cywilnego, mieszczącym się wtedy przy ul. Buczka, był 11 lutego 1964 r. Moi Rodzice żyli ciągle problemem uwięzienia Ojca i stwierdzili:

– Wolelibyśmy, którąś dziewczynę ze Zgliczyna, ale to twoje życie i twoja decyzja.

Natomiast z kościelnym był problem, bo nie chciałem, aby odbył się bez Ojca, więc termin był w zawieszeniu.

Trzeba też było ustalić świadków. Najpierw na ślub cywilny. Ze strony Gosi było to dość proste, była ona zaprzyjaźniona z Urszulą Słomską, nauczycielką geografii w IV LO, z którą sympatyzował psycholog po KUL-u, Sylwester Nowak. On miał być jednym ze świadków. Z mojej strony był pewien kłopot. Jako pracujący przez ostatnie lata równolegle w Liceum Pedagogicznym i Studium Nauczycielskim (zob. fragment wspomnień w t. 34 „Kroniki Bydgoskiej”) z konieczności, a i z przyjemności, korzystałem z biblioteki tegoż Studium, którą kierowała polonistka Maria Dubowikowa. Jej męża, Henryka, też polonistę, znałem mniej, ale również zgodził się zostać naszym świadkiem<sup>2</sup>.

Po ustaleniu formalności, postanowiłem poinformować o ślubie „moją” klasę, wtedy Vb, czyli maturalną. W ostatnich dwóch latach ich wychowawczynią była p. Budzianka – pedagog, która miała więcej godzin zajęć z tym zespołem niż ja – historyk. Wzajemne przekonanie, że to jednak „nasza” klasa zostało. Gdy dziewczyny, które już z podlotków wyrosły na osiemnasto-, dziewiętnastoletnie panny, poinformowałem o tym, w klasie niespodziewanie rozległ się przeciągły jęk. Można to było interpretować na różne sposoby.

Dzień ślubu – 11 lutego – był słoneczno-pochmurny. Co pewien czas przelatywał deszcz ze śniegiem, a ja, ubierając się w swój czarny garnitur, kupiony jeszcze

<sup>2</sup> J. Rulka, *Moje bydgoskie półwiecze. W liceum pedagogicznym 1959-1964*, „Kronika Bydgoska”, t. 34, Bydgoszcz 2013, s. 553-592.

w trakcie pracy w internacie szkół chemicznych, natrafiłem na nieoczekiwaną przeszkodę. Wcześniej Józek Jętczak nauczył mnie robić tzw. podwójny węzeł, dzięki czemu krawat ładnie wyglądał. Teraz, chcąc to zrobić na ślubnym, świeżo kupionym egzemplarzu, kompletnie z nerwów zapomniałem. Co więcej, groziło to całkowitym zgnieceniem „zwisu męskiego, swobodnego”, jak to w owym czasie oznaczała jedna ze spółdzielni pracy produkująca krawaty. Po kilku nieudanych próbach zacząłem ćwiczyć na innym egzemplarzu i wreszcie się udało!

Wskutek tego z ul. Libelta na 3 Maja przybiegłem z 20-minutowym opóźnieniem. Widać było po twarzy oblubienicy, że znów miała obawy, że nawalę jak wtedy, przy nieudanym dancingu. Wcześniej załatwiłem z placu Wolności tak-sówkę i dojechaliśmy na czas na ul. Buczka, gdzie czekali już na nas świadkowie i ich żony. Piszę „żony”, bo po kilku miesiącach poszli naszym śladem Urszula Słomska i Sylwester Nowak.

Uczętę weselną przyrządzili nam w swoim mieszkaniu Rodzice Gosi. Oprócz świadków brało w niej udział kilka osób z naszych miejsc pracy. Następne dwa miesiące to był czas malowania surowych ścian i kupowania niezbędnych mebli. Niezbyt wielu, by tego małego metrażu nie zastawić. Zdaje się, że była to reprezentacyjna szafa, meblościanka i stół do „dużego” pokoju.

Najważniejsze jednak było wyznaczenie daty ślubu kościelnego. Po konsultacjach rodzinnych ustaliliśmy, że będzie to sobota przewodnia, czyli tydzień po Wielkanocy – 11 kwietnia 1964 r. – równo dwa miesiące po ślubie cywilnym. Niestety, Ojciec ciągle był w więzieniu. Na Gwiazdkę dostał piękną laurkę od dzieci ze szkoły zgliczyńskiej z podziękowaniem za kierowanie komitetem jej budowy, ale to była żadna pociecha.

Chyba miesiąc przed ślubem do akcji ruszyła moja siostra Irena. Ponieważ byłem od niej o 8 lat młodszy, przez całe życie, aż do swej przedwczesnej śmierci w 2003 roku, cały czas mi matkowała. Był to człowiek wielkich zalet charakteru, wielkiej kultury i ogromnej wiedzy lekarskiej, otaczająca troską całą rodzinę. Jej dobroć i stratę odczuliśmy naprawdę wtedy, gdy zmarła.

Któregoś dnia ruszyła do sekretariatu osławionej, długoletniej warszawskiej prokurator wojewódzkiej – Bardonowej. Tam oświadczyła, że żąda rozmowy z tą budzącą powszechny postrach kobietą. Poinformowała też, że oświadczy swoim chorym pacjentom, dlaczego w tym dniu nie może ich przyjąć. Po dwóch czy trzech godzinach, gdy widać było, że jej determinacja nie ustępuje, została wpuszczona do gabinetu. Tam oznajmiła coś w tym stylu:

– Gdy w 1952 roku, świeżo po studiach, wychodziłam za mąż, na ślubie nie mógł być mój Ojciec, odbywający w stalinowskim więzieniu 10-letni wyrok polityczny. Gdy teraz mój młodszy o 8 lat brat się żeni, znów Ojciec jest w więzieniu.

Czy nic się nie zmieniło? Czy my jesteśmy jakimiś wyrzutkami społeczeństwa. Czy nie mamy prawa do normalnego życia?

Nie wiem, jak ta rozmowa odbywała się w szczegółach, w każdym razie po pewnym czasie w prokuratorce odezwały się chyba jakieś ludzkie uczucia. Powiedziała, że wykorzystując iż Ojciec ma powyżej 60 lat (62), wystąpi o roczną przerwę w odbywaniu wyroku, a potem się zobaczy.

Bardonowa prawdopodobnie wiedziała już o przygotowywanej na 22 lipca 1964 r. amnestii z okazji 20-lecia Polski Ludowej. W każdym razie Ojciec na dwa tygodnie przed ślubem, po 9 miesiącach tym razem więzienia, wyszedł na wolność i mógł razem z Mamą na ślub przyjechać. To była dla nas wszystkich wielka radość, tym bardziej potrzebna, że równocześnie mocno bałem się samej instytucji małżeństwa. Po prostu nie wiedziałem, jak wejść w rolę męża i ojca rodziny. Z późniejszych rozmów wynikało, że Żona myślała o tym bardziej spokojnie: raczej jak zagospodarować dom, gdzie co ustawić i jak zarządzać całością. Wprawdzie jesteśmy tzw. małżeństwem partnerskim ze wszystkimi blaskami i problemami, to jednak wydaje mi się, że całością spraw domowych zarządza przez całe półwiecze Żona, a mnie, jako pomocnikowi, jest z tym bardzo dobrze. Potwierdziłem to w czasie toastu, kiedy w gronie poszerzonej rodziny obchodziliśmy wiosną 2014 r. 50-lecie ślubu.

Przypomniał mi się w tym momencie stary dowcip:

– U nas w rodzinie jest podział pracy. Żona rozstrzyga sprawy drobne: wyżywienie, ubranie, sprawy dzieci itp., a ja sprawy zasadnicze: rywalizacja systemów politycznych, konflikty międzynarodowe, rozwój gospodarczy Polski i świata itd.

Rodzice przyjechali dwa dni wcześniej, witaliśmy ich na dworcu i dopiero wtedy poznali swą synową. Wieczorem gościliśmy u teściów. Musiało upłynąć trochę czasu, zanim obydwie strony w pełni się zaakceptowały.

W przeddzień i w dzień ślubu pojawiła się rodzina poznańska i warszawska. Ślub dawał nam katecheta Małgorzaty, ks. Pomin, będący wtedy proboszczem w pięknym drewnianym kościele na Siernieczku. Pojechaliśmy tam kilkoma taksówkami, poprzedzani trzema motocyklami, na których siedzieli, zjawiwszy się niespodziewanie, trzech poprzedni kawalerowie starający się o rękę Gosi – już z resztą wtedy żonaci. Było nam miło, chociaż i nerwowo – podniecająco. Świadkami tym razem byli: inż. Henryk Brzeziński, piwowar, wcześniej z zakładów tyskich, a wtedy poznańskich – wuj Gosi i inż. Bolesław Skowyrski, specjalista budownictwa wodnego – mój szwagier. Czyli na ślubie cywilnym świadczyli humaniści, na kościelnym – technicy.

Przyjęcie weselne znów było u teściów – w dużej ciasnocie. Wtedy nie było jeszcze tyłu restauracji ani zwyczajów, by odbywać te imprezy poza domem.

Z otrzymanych prezentów najcenniejsze były:

- pralka Frania produkowana w Kielcach w dziale cywilnym przy fabryce zbrojeniowej. Była to okrągła pralka bębnowa z ręczną wyżymaczką, którą przez kilka lat z upodobaniem obsługiwałem;

- dwa komplety pościelowe w różnych kolorach. W latach 60. dominował tzw. pop-art. Np. dziewczyny lubiły się ubierać w kreacje w czarno-białe pasy. Spódnice zakładały na krochmalone halki;

- serwis stołowy w pięknym kawowym kolorze (połowa jeszcze ocalała);

- sztućce stalowe z wytwórni Gerlach znanej od XIX w., a tak piękne i trwałe, że do dziś nie spotkałem ładniejszych. Ciągłe są nam przydatne. Niestety, Gerlach po przemianach padł, podobnie jak wiele firm metalowych, szklarskich i elektro-  
nicznych. Ciągłe nie potrafię zrozumieć, że to akurat było konieczne.

Były jeszcze inne drobniejsze podarki, które przyjmowaliśmy z wdzięcznością.

Wkrótce zaprzyjaźniliśmy się z mieszkańcami naszej klatki. Na każdej kondygnacji były po trzy mieszkania, dwa o podobnym do naszego metrażu i jedno mniejsze (M-3 o powierzchni 35 m<sup>2</sup>). Jak z tego wynika, metraż przeznaczony na osobę wynosił niewiele ponad 10 m<sup>2</sup> powierzchni użytkowej, a mieszkalnej, odliczając kuchnię, łazienkę i przedpokój sporo mniej. Na naszej klatce mieszkali między innymi: na parterze dr Klotz (żona polonistka), na I piętrze rodzina Andrzeja i Hanny Purzyckich – obydwój lekarze, oraz dr Kowalczyk z uśmiechniętą zawsze żoną nauczycielką (ten młody lekarz po niecałych 10 latach zmarł na raka), na II piętrze inż. Stępień z rodziną, na III – dwie sympatyczne siostry nauczycielki oraz państwo Bojarowie. Pani Bojar, jak mi się kiedyś przyznała, była represjonowana za młodzieżową działalność antykomunistyczną i nie dostała się na studia. Na IV piętrze obok nas mieszkał urzędnik Pawlikowski, śpiewający pięknym tenorem w jednym z bydgoskich chórów, a czasem nucący też w domu, wraz z żoną nauczycielką w Technikum Gastronomicznym, wreszcie w mieszkaniu najmniejszym p. Pantkowski z żoną. Jako hydraulik i elektryk ratował nas często w awariach domowych. Jak z tego wyliczenia wynika w Spółdzielni „Znicz” obok nauczycieli znaleźli się jako współmałżonkowie lekarze i przedstawiciele zawodów technicznych.

Po pięciu latach po dwoje dzieci mieli już Klotzowie, Stępnio wie, Purzyccy, Rulkowie, a Pantkowsky jedno. Wszystkie nasze dzieci bawiły się na wewnętrznym podwórzu z piaskownicą i zjeżdżalnią na ogół w zgodzie, przedzielonej małymi dziecięcymi nieporozumieniami. Miniosiedle czterech bloków uzupełniał samoobsługowy sklep spożywczy zbudowany z lekkim poślizgiem (obecnie apteka). Właściwie nie odczuwaliśmy rażących braków w zaopatrzeniu z wyjątkiem

małej oferty środków piorących i kłopotów z wyrobami mięsnymi. Cytrusy pojawiały się w zasadzie tylko na święta i kupowało się je przeważnie w Delikatesach. Ponieważ wchodzenie za każdym razem na IV piętro bez windy było dość uciążliwe nawet dla młodych, wymyśliliśmy z Żoną przesyłanie zakupionych produktów w koszyku umocowanym na sznurze, który wciągało się na balkon. Gdy czasem stosowaliśmy ten system, ludzie przechodzący ul. Libelta nieco się uśmiechali.

Posiadane mieszkanie wydało mi się czymś cudownym. Wkrótce jednak wyszły jego braki. O jednym już pisałem. Kilkakrotne w ciągu dnia wchodzenie na IV piętro, szczególnie gdy trzeba było wnieść dzieci i wózek, było uciążliwe. Okazało się też, że blok ma słabą izolację termiczną. Mieszkania usytuowane od strony wschodniej i południowej mocno się przegrzewały przez ściany, a nasze dodatkowo i przez sufit. Oczywiście zimą, ale także wiosną i jesienią, gdy nie palono, było z kolei zimno.

Całe osiedle ogrzewała lokalna kotłownia, którą zarządzał miły p. Jabłoński. Miał niestety jedną przywarę. Po pierwszym, gdy dostawał pensję, wpadał w kilkudniowy ciąg alkoholowy i wtedy na osiedlu robiło się bardzo zimno. Dopiero bardzo ostra rozmowa, która odbył z nim prezes Malinowski doprowadziła go do porządku. Przypomniało mi się to niedawno, gdy po raz kolejny oglądałem film „Miś” Tyma i Barei ze sceną rozmowy telefonicznej palacza centralnego ogrzewania ze swoją władzą.

– „Czy ja palę pani kierowniczo? Ja palę bez przerwy” – mówi w nim palacz zapalający papierosa od papierosa, a równocześnie wyjmujący kolejną półlitrowkę.

Problem został rozwiązany dopiero w latach 70., gdy całe osiedle zostało podłączone do sieci przesyłowej z elektrociepłowni.

Ponieważ obydwójce z Żoną byliśmy mocno zajęci pracą zawodową, z radością przyjęliśmy informację sąsiadki Pawlikowskiej, że możemy wykupić obiady w ćwiczeniowej stołówce Technikum Gastronomicznego na niedalekiej ul. Kornarskiego. Dzięki temu przez kilka lat mogliśmy korzystać z tej naprawdę wzorowo prowadzonej placówki szkolącej przyszłe kadry gastronomiczne. Jedzenie było niezbyt obfite, ale bardzo smaczne i grzecznie podane przez uczniów. Poznaliśmy tam też p. wicedyrektor – też chemiczkę o pięknym nazwisku po mężu Handschuh (rękawiczka), z którą m.in. odbyliśmy wkrótce wycieczkę do Moskwy i na Krym. Przy obiedzie najchętniej przysiadalem się do rzeczowej, sympatycznej lekarki p. Głodek, zamężnej z ekonomistą. U Głódków spotykaliśmy się później kilkakrotnie na ich działce w Janowie. Często jadałem też z dr. Piechockim – długoletnim redaktorem „Ilustrowanego Kuriera Polskiego”. Czekaając czasem na podanie posiłku, ucinaliśmy sobie poważniejsze rozmowy.

Jedną z nich dotyczyła ciągów komunikacyjnych w Bydgoszczy. W 1961 r., gdy w Berlinie budowano mur, dla wzmocnienia polityczno-militarnego tego bezprecedensowego wydarzenia, do NRD ruszyły przez Polskę silne radzieckie oddziały wojskowe. Przez Bydgoszcz dzień i noc szły sowieckie ciężarówki i wąska wtedy ul. Jagiellońska się zatkała. Zresztą i tak była już za wąska na zwykły ruch. Wtedy ją przebudowano, przesuwając nieco na północ kościół Klarysek. Dobudowano drugą jezdnię od zbudowanego wtedy ronda Jagiellonów aż do projektowanej wtedy ul. Szerokiej (dzisiaj Kardynała Wyszyńskiego). Dr Piechocki, piszący wiele mądrych tekstów w IKP-ie, miał zdanie nieugięte: to się robi dla celów wojskowych. Bydgoszczy jako miastu jest to niepotrzebne. Ja, zgadzając się z nim i dodając, że w tym celu wojsko buduje też obwodnicę południową przez las (dziś poszerzoną do dwupasmówki od Brzozy do Białych Błot), równocześnie uważałem, że w Bydgoszczy zdecydowanie są potrzebne nowe ciągi komunikacyjne.

Rzeczywiście, w latach 60. sporo – jak na ówczesne możliwości – zaczęto ich budować. Przede wszystkim mosty. Ze starych w śródmieściu ocalał właściwie tylko jeden: most Królowej Jadwigi. Reszta była odbudowana prowizorycznie jako przeprawy drewniane. W latach 60. zbudowano żelbetowe mosty: Staromiejski – nazwany później im. Sulimy-Kamińskiego, most w ciągu ul. Bernardyńskiej oraz w ciągu ul. Armii Czerwonej (Focha) – dziś potrojony jako most Solidarności. Zaczęto też przygotowania do rewolucji na tzw. węźle grunwaldzkim, z częściowym zasypaniem fragmentu starego Kanalu Bydgoskiego.

Rewelacją było też stworzenie pierwszego ronda z przejściami podziemnymi (rondo Jagiellońskie). Aby udrożnić cały ten ciąg komunikacyjny trzeba było zburzyć czerwony, okazały gmach Resursy Kupieckiej, który po wojnie stał się jednym z budynków Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Resursa znajdowała się tam, gdzie dziś jest jezdnia wyprowadzająca ruch na zachód z ronda Jagiellonów naprzeciw budynku Wydziału Humanistycznego UKW. Tenże budynek został w latach 50. wybudowany dla potrzeb Międzywojewódzkiej Szkoły Partyjnej, działającej aż do 1989 roku.

Zaczęto też przebudowywać dzielnicę magazynową między ul. 3 Maja (częściowo ją poszerzając) a parkiem Ludowym (wcześniej cmentarz ewangelicki). Jako pierwszy powstał tam w latach 60. wieżowiec, w którym dziś mieści się Bank Poczty. Na początku lat 70. zbudowano Pałac Młodzieży, częściowo ze składek społecznych. W latach 90. – Bank Handlowy, Hotel City oraz piętrowy garaż.

Po ukończeniu studiów starałem się sporo korzystać ze względnej swobody w życiu kulturalnym, która nastąpiła po polskim październiku 1956 roku.

Częściowo przedstawiłem to w pierwszej części moich wspomnień. Lata 1957-59 były dla mnie pod tym względem dużo chudsze, gdyż pracowałem od świtu do nocy w szkole i internacie (zob. przypisy 1, 2). Rzadko udawało mi się wyrwać na seans filmowy do „Pomorzanina” lub „Polonii” (róg Krasieńskiego i Staszica, tam gdzie obecnie zbudowano wysoki apartamentowiec), jeszcze rzadziej do świeżo zbudowanej Filharmonii Pomorskiej. Natomiast gdy zacząłem pracować w Liceum Pedagogicznym (od 1959 r.), mając tygodniowy wymiar osiemnastu godzin plus dwie nadliczbowe, postanowiłem nadrobić braki w życiu kulturalnym.

Za najbardziej ambitne przedsięwzięcie ówczesnych lat uważam bydgoski Teatr Propozycji. Nie wiem, czyja to była inicjatywa. Raz w miesiącu odbywała się kolejna premiera w KMPiK. Klub Międzynarodowy Prasy i Książki (Empik) mieścił się obok kina „Pomorzanin” w pomieszczeniach, które przez kilkanaście ostatnich lat zajmował drogerijny sklep Rossmann. Na parterze była niewielka księgarnia z pozycjami w obcych językach. Znajdowały się w niej tylko egzemplarze, które akceptowała cenzura. Kupiłem tam sobie m.in. kilkanaście kieszonkowych opowiadań i powieści Hemingwaya w oryginale, a także kilka powieści po rosyjsku, jak chociażby „Odwilż” Erenburga. W tym samym pomieszczeniu mieścił się bar ze świeżo przyrządzaną pachnącą kawą, a resztę sali zajmowały stoliki, przy których można było porozmawiać, przejrzeć lub przeczytać tytuły kilkunastu gazet i czasopism polskich, radzieckich oraz kilku tygodników zachodnich, głównie niemieckich i francuskich, mających polski debit. Na piętrze znajdowała się natomiast duża czytelnia oraz sala odczytowa na kilkadziesiąt miejsc.

Właśnie tam odbywały się spotkania teatralne. Zaczynały się one wprowadzeniem, które zazwyczaj mieli redaktorzy „Gazety Pomorskiej”, m.in. Dariusz Czaplicki, Zefiryn Jędrzyński i chyba Janusz Brodziński. Różnie je oceniałem. Zawsze jednak wyróżniały się in plus wystąpienia Jarosława Szymkiewicza. Podobnie jak poprzednio wymienieni był on polonistą po uniwersytecie toruńskim. Jego prelekcje miały jednak za każdym razem jakiś inny niż pozostałych prelegentów wymiar. Budziły od razu zainteresowanie, chwytaly ważne problemy, były przedstawiane ze swadą i swobodą językową. Szymkiewicz był wcześniej kolegą szkolnym z I LO Jerzego Hoffmana i wspólnie pracowali nad scenariuszem „Potopu” – jednego z naszych najlepszych filmów historycznych. Szkoda, że szybko zmarł na raka.

Po wprowadzeniu siedzący przed widownią aktorzy czytali teksty. W ten sposób mogłem wraz z innymi zapoznać się z awangardową wówczas twórczością Ionesco, Camusa i ulubionego przeze mnie Dürenmatta, a z polskich – Witkacego i Tadeusza Różewicza. Z aktorów biorących udział w tym czytanim teatrze pamiętam Hieronima Konieczkę, Zdzisława Karczewskiego z żoną Igą Mayr,



Lucynę Słojewską, później pracującą w Teatrze „Wybrzeże” i najbardziej mi się podobającą (jako kobieta) Danutą Balicką, żoną dyrygenta Roberta Satanowskiego. Część repertuaru tego teatru obejrzałem potem na scenach teatrów warszawskich i krakowskich, ale o tym w kolejnej części wspomnień. Szkoda, że inicjatywa ta, w miarę jak z Bydgoszczy stopniowo wyjeżdżała część uznanych aktorów, po prostu zamarła.

Najwyżej notowaną wtedy w Bydgoszczy instytucją kulturalną była w powszechnej opinii Filharmonia Pomorska. Powojenne tradycje muzyczne Bydgoszczy zaczęły się od radiowej orkiestry Arnolda Rezlera. Potem przejęła to Filharmonia, szczególnie, gdy w roku 1958 wprowadziła się do mającego świetną akustykę nowego gmachu zbudowanego przez zespół architekta Klajbora. Do dziś sala ta cieszy się ogromnym uznaniem fachowców i melomanów.

Wielkie lata działalności Filharmonii Pomorskiej mają bogatą bibliografię, por. chociażby fundamentalną pracę Aleksandry Kłaput-Wiśniewskiej. Nie jest moją rolą całościowe przypominanie osiągnięć Filharmonii. Chcę tylko podać kilka uwag z perspektywy zwykłego odbiorcy – uczestnika tamtych wydarzeń artystycznych.

Ceniłem ogromnie działalność ówczesnych dyrygentów w Filharmonii. Pierwszym, pod którego dyrekcją słuchałem orkiestry jeszcze na ostatnim roku studiów w toruńskim Collegium Maximum na Starym Rynku, był Robert Satanowski. Na podeście dyrygenckim stał dość sztywno i kojarzył mi się „jakby oficer przebrany we frak” (por. Wspomnienia pracowników UMK)<sup>3</sup>. Okazało się, że byłem bliski prawdy. W czasie wojny dowodził oddziałem partyzanckim na Polesiu, a potem w Wojsku Polskim doszedł do stopnia pułkownika. Jednakże kariera w LWP mu nie odpowiadała i wybrał studia i karierę muzyczną. Później w jego ślady poszedł też już nieżyjący syn. Robert Satanowski dał podstawy pod wysoki poziom FP, który prezentowała przez następne dziesięciolecia.

Okazało się, że z moją Żoną mamy podobne upodobania również w sferze muzycznej, dlatego za czasów następnego głównego dyrygenta, Zbigniewa Chwedczuka, który kierował Filharmonią Pomorską w latach 1958-72, najczęściej uczęszczaliśmy na piątkowe koncerty. Ułatwiał nam to również fakt, że mieszkaliśmy 100 metrów od Filharmonii, w spółdzielczym bloku przy ul. Libelta, sąsiadując z kamienicą, w której ostatnie lata życia spędzał Adam Grzymała-Siedlecki. Na koncertach spotykaliśmy się często z Marią i Henrykiem Dubowikami, którzy byli stałymi bywalcami i koneserami muzyki poważnej bardziej niż my.

Najwyższy poziom orkiestra Filharmonii osiągnęła w latach 70., gdy jej kierownikiem artystycznym został Antoni Wit. Niestety, po kilku latach przeszedł na

<sup>3</sup> J. Rulka, *Moje studia na kierunku historii (1952-1956)*, [w:] *Uniwersytet Mikołaja Kopernika. Wspomnienia pracowników*, Toruń 1995, s. 240.

stanowisko dyrygenta Wielkiej Orkiestry Polskiego Radia w Katowicach, a potem Filharmonii Narodowej.

Dzięki Filharmonii mieliśmy z Żoną możliwość usłyszenia większości polskich laureatów kolejnych konkursów chopinowskich, m.in. Haliny Czerny-Stefańskiej, Barbary Hesse-Bukowskiej, Lidii Grychtolówny, Piotra Palecznego i innych. Słyszeliśmy też występy wiolonczelisty Kazimierza Wilkomirskiego i skrzypków: Wandy Wilkomirskiej, Konstantego Kulki i Krzysztofa Jakowicza.

Niestety, jeszcze jako kawaler, nie mogłem się dostać na recital Artura Rubinsteina. Byliśmy za to na koncertach, kiedy występowali: Karol Malcużyński, Światosław Richter i Aram Chaczaturian. Z tymi wiązały się też pewne przygody. W czasie koncertu Malcużyńskiego pękła w fortepianie struna i nastąpiła ponadpółgodzinna przerwa, gorąco komentowana przez słuchaczy. Już nie pamiętam dokładnie, ale zdaje się, że występ Światosława Richtera poważnie się opóźnił. Konferansjer, tłumacząc przyczyny czekania, najpierw poinformował nas, że samochód, którym podróżował Mistrz uległ wypadkowi, a po dłuższym czasie z podnieceniem zapowiadając, iż jest On już w garderobie oświadczył radośnie:

– Wprawdzie głowa Mistrza nieco ucierpiała to jednak ręce, ręce nie odniosły szwanku.

Zebrani przyjęli to oświadczenie z tzw. mieszanymi odczuciami. Jednakże incydent na poziom koncertu nie wpłynął negatywnie.

Pragnę tu jeszcze wspomnieć o Festiwalach Muzyki Dawnej Krajów Europy Środkowej i Wschodniej. Z radością uczestniczyliśmy przeważnie w koncertach chóralnej muzyki cerkiewno-słowiańskiej, nie tylko rosyjskiej, lecz także bułgarskiej i rumuńskiej.

Oczywiście najważniejszą w tym wszystkim była działalność wprost tytaniczna długoletniego (do 1991 r.) dyrektora Filharmonii Pomorskiej Andrzeja Szwalbego. Za poradą Henryka Dubowika siadaliśmy przeważnie w wyższych rzędach, gdzie podobno było najlepsze w odbiorze brzmienie wykonywanych utworów. Po pewnym czasie zorientowaliśmy się, że w najwyższym rzędzie z lewej strony zajmuje skromne miejsce Dyrektor Filharmonii – prawnik mgr Andrzej Szwalbe. Do całościowej oceny tej chyba najwybitniejszej postaci świata kultury w powojennej Bydgoszczy wróć jeszcze w następnych rozdziałach, bo Andrzej Szwalbe zapisał się niezwykle pozytywnie w wielu dziedzinach, dążąc do stworzenia z Bydgoszczy ponadregionalnego ośrodka kultury.

Dopiero po dwu latach małżeństwa kupiliśmy pierwszy odbiornik telewizyjny wyprodukowany w Warszawskich Zakładach Telewizyjnych. Telewizja Polska miała wtedy jeden tylko program i nadawała większość przekazów na żywo,

w godzinach popołudniowych i wieczornych. Ale poziom jej był – z wyjątkiem sztamповych dzienników – wysoki lub bardzo wysoki.

Najwyżej ocenialiśmy poniedziałkowe spektakle teatru telewizji w większości dawane „na żywo” z udziałem najwybitniejszych polskich aktorów, m.in. Holoubka, Łomnickiego, Świderskiego, Hanuszkiewicza i innych. Ogromną widownię gromadził czwartkowy teatr sensacji „Kobra”, a największą Kabaret Starszych Panów Jeremiego Przybory (teksty) i Jerzego Wasowskiego (muzyka). Jeremi Przybora kilka powojennych lata spędził w Bydgoszczy, pracując w rozgłośni Polskiego Radia.

W kabarecie tym mogliśmy podziwiać obok wymienionych: Irenę Kwiatkowską, Kalinę Jędrusik, Barbarę Kraftównę, a z mężczyzn: Edwarda Dziewońskiego, Wiesława Gołasa, Wiesława Michnikowskiego i wielu innych. Do dziś żywą reakcją w starszym pokoleniu budzą przeboje kabaretu: „Adios pomidory”, „Przeklnij mnie”, „My jesteśmy tanie dranie” i wiele innych.

Szczególnie głośna była wtedy szeptana opowieść (okazało się, że prawdziwa) o Kalinie Jędrusik. Występowała ona z dość mocno odkrytym biustem, co wtedy było o wiele bardziej niż dziś podniecające. Gdy raz założyła jeszcze na ten biust naszyjnik z krzyżykiem, brzydka i ateistyczna p. Gomulkowa wymogła na mężu długotrwały zakaz występowania aktorki w telewizji. Podobno wtedy Jędrusik ukazała się w kreacji z przodu całkowicie zapiętej, ale na plecach z dekoltem przez całe plecy, aż do najniższych partii. Takie to wtedy mieliśmy rozrywki...

Również dzieci mogły spokojnie zasypiać, oglądając sympatycznego Bolka i Lolka, Piaskowego Dziadka z NRD i Rozbójnika Rumcajsa z Czechosłowacji. Oczywiście, złota era telewizji pod względem technicznym to dopiero lata 70., ale artystycznie nie wiem, czy lata wcześniejsze nie były im przynajmniej równe.

Dla mnie, a myślę że i dla wielu innych, piętnastolecie po 1956 r. to jednak przede wszystkim okres złotego wieku kina. O tym jednak napiszę w kolejnym rozdziale, gdyż wiąże się to także z moim doktoratem.

Ogólnie można powiedzieć, że mimo zaburzeń politycznych w ocenie syntetycznej lata 1956-67 był to czas dużo lepszy od lat 40. – wojennych i powojennych, oraz wczesnych lat 50. – czasach ponurego stalinizmu. Był to okres społecznej, małej stabilizacji.